Bożena Malec

Utkana z miłości

Opowieść o bł. Franciszce Siedliskiej

Wydanie rozszerzone

Warszawa 2024

Opracowanie redakcyjne
s. Maksymiliana Dojcz CSFN

Ilustracje
s. Gaudia Więcek CSFN

Projekt okładki
s. Judyta Bajuk CSFN

Korekta
Barbara Miezianko

Skład komputerowy

ISBN

Wydawnictwo

ZA ZEZWOLENIEM WŁADZ ZAKONNYCH
(Zgromadzenie Sióstr Najświętszej Rodziny z Nazaretu, Prowincja Warszawska)
staraniem Stowarzyszenia Najświętszej Rodziny

WSTĘP
Słowo wstępne

Siostry Najświętszej Rodziny z Nazaretu obchodzą w 2025 roku 150. rocznicę powstania Zgromadzenia. Jest to szczególny czas świętowania charyzmatu i misji Zgromadzenia, refleksji nad wiernością Boga i Jego działaniem przez te 150 lat, a także nad ofiarą pokoleń Sióstr, które odeszły przed nami, zwłaszcza naszej Matki Założycielki, Franciszki Siedliskiej. Jest to więc bardzo odpowiedni czas na wydanie drugiego wydania tego dzieła, które koncentruje się na życiu Matki, a także na powstającym Zgromadzeniu, któremu przewodziła.

Pragnę podziękować autorce, Bożenie Malec, za pierwotne napisanie tej książki i za obecne wydanie. Bożena, która jest nauczycielką, a także wierną członkinią Stowarzyszenia Świętej Rodziny, jest od dawna związana z Siostrami Świętej Rodziny, zwłaszcza w Prowincji Warszawskiej. W swojej pracy pisarskiej świetnie oddała ducha Franciszki Siedliskiej w sposób, który - mam wrażenie - może przemówić zarówno do dzieci, jak i do dorosłych, co czyni ją idealną do rodzinnej lektury.

Tytuł tej książki Utkane z miłości przywodzi na myśl werset z Psalmu 139:
"Ukształtowałeś moją wewnętrzną istotę; utkałeś mnie w łonie mojej matki.
Wysławiam Cię, tak cudownie mnie stworzyłeś; wspaniałe są Twoje dzieła!"
(Psalm 139 13-14)

Ten werset z Pisma Świętego odbija się echem na stronach, które zaraz przeczytacie, gdyż mamy okazję przyjrzeć się działaniu Bożej ręki od pierwszych chwil życia Frances aż do końca jej ziemskich dni.

Ta krótka książka oferuje nam różne "migawki" z życia Frances, które pomagają nam docenić błogosławieństwa, które otrzymała, jak również wyzwania, którym musiała stawić czoła. Jest ona zwarta i wypełniona perłami prawdy i mądrości.

Czytamy na tych stronach o kimś, kto od najmłodszych lat był rozpalony wielkim pragnieniem Boga, które wyrażało się najpierw w wyobrażeniu o wyjeździe na misje do dalekich krajów, a z biegiem lat dojrzewało do codziennej drogi ofiary i miłości, gdziekolwiek bł. Frances się znalazła.

Poznajemy silną kobietę, która od dzieciństwa wykazywała się wielką wrażliwością serca, która pomagała jej przez całe życie być otwartą na podszepty Ducha Świętego.

Franciszka Siedliska, znana również jako Błogosławiona Maria od Jezusa Dobrego Pasterza, jest dla nas świadkiem tego, co znaczy być wiernym w codziennym życiu, nawet w "małych rzeczach". Bo jak mówi nam Pismo Święte: "Kto jest godny zaufania w bardzo małych sprawach, ten jest godny zaufania także w wielkich". Rzeczywiście, powierzono jej również "wielkie sprawy" i jest przykładem wiernego szafarstwa.

Czytając tę książkę, można natknąć się na wiele innych cennych lekcji, m.in. jak ważna jest modlitwa za tych, których kochamy, "słuchanie z Kościołem", czy dążenie do tego, by zawsze wypełniać wolę Bożą - żyć dewizą Zgromadzenia - FIAT VOLUNTAS TUA.

Podczas gdy Błogosławiona Maria od Jezusa Dobrego Pasterza spędziła wiele lat swojego życia na prowadzeniu i opiece nad Zgromadzeniem Sióstr Najświętszej Rodziny z Nazaretu, nigdy nie osłabła w swoim skupieniu na rodzinach, do których służby była powołana. Na tych stronach czytamy także, jak

Matka widziała rolę nie tylko Sióstr, ale także rolę rodzin w służbie innym rodzinom. Dlatego też jej wizja nadal wzywa nas wszystkie do kontynuowania pracy na tym łaskawym polu.

Nawet ci, którzy dobrze znają życie Matki, mogą być poruszeni i pobłogosławieni przez lekturę tej książki, która podkreśla ducha naszej Matki Założycielki i czułość, jaką okazywała innym naśladując swego Dobrego Pasterza.

Podczas gdy poniższe strony mają pomóc w lepszym poznaniu Błogosławionej Marii od Jezusa Dobrego Pasterza, mam nadzieję, że pomogą one również każdemu czytelnikowi zastanowić się nad własną historią i zobaczyć oczami wiary, jak Bóg pisze na wszystkich kartach życia. Niechaj zainspiruje także młodych i starych do otwarcia na nowo swoich serc na Boga, który we wszystkim dopomaga tym, którzy Go miłują i są powołani według Jego zamysłu. (Rz 8,28)

Niech modlitwy bł. Marii od Jezusa Dobrego Pasterza przyciągną do Świętej Rodziny wszystkich, którzy czytają tę książkę, a zwłaszcza całe rodziny, aby za ich przykładem i wskazówkami mogły pozostać pod ich opieką. Każda osoba ze Świętej Rodziny była kimś drogim dla naszej Matki Założycielki. Modlę się, aby Jezus, Maryja Józef, a także bł. Franciszka Siedliska stali się również waszymi bliskimi przyjaciółmi.

Sr. Angela Marie Mazzeo, CSFN
Przełożona Generalna

„Miłości, miłości, miłości.

Nazaret i nie-miłość nie mogą mieć nic ze sobą wspólnego. Z Nazaretu wyszła miłość na cały świat”[1].

Kiedy w sposób duchowy spotykam się z bł. Franciszką Siedliską w pierwszym domu Zgromadzenia[2], który ona sama zakupiła i w tym miejscu oddała swoją duszę w ręce Umiłowanego, zastanawiam się i nadsłuchuję co dzisiaj Ona – córka ziemi mazowieckiej, Założycielka Zgromadzenia Sióstr Najświętszej Rodziny z Nazaretu chciałaby powiedzieć współczesnym ludziom, współczesnym rodzinom.

Drugie wydanie książki „Utkana z miłości” zostało wzbogacone o nowe szczegóły z życia Błogosławionej. Książka autorstwa Bożeny Malec, która została poproszona przez ś.p. s. Klarę Żygo CSFN o przedstawienie sylwetki bł. Franciszki Siedliskiej do rodzinnego czytania spotkała się z dużym zainteresowaniem i pięknym przyjęciem.

Bł. Maria od Pana Jezusa Dobrego Pasterza – takie imię przyjęła w klasztorze, dla nas swoich duchowych córek, dla wspólnoty świeckich - Stowarzyszenia Najświętszej Rodziny i wielu rodzin jest ukrytą patronką rodzin, przyjaciółką, tą przez którą powierzamy nasze sprawy dobremu Bogu. Dzięki Bożence – autorce książki, która ukazuje Franciszkę jako dziewczynę pochodzącą z rodziny, która

[1] Por. Konferencje Franciszki Siedliskiej, Rzym 1960, s. 91.
[2] Dom Macierzysty Zgromadzenia Sióstr Najświętszej Rodziny z Nazaretu, ul. Macchiavelli 18, Rzym.

daleko była od Boga, ale ta odległość nie zatrzymała Franciszki – młodej dziewczyny, która odkrywa sens życia w bliskiej relacji z Jezusem, bowiem *Bóg objawia się tam, gdzie wydaje się być nieobecny*[3].

Kiedy myślę o rodzinach bliskich memu sercu, rodzinach Stowarzyszenia[4], o ludziach młodych jako Nazaretanka jestem przekonana o wielkiej roli i powołaniu rodziny. Rodzina jest fundamentem człowieczeństwa. Dzisiaj jak i wtedy w XIX w. Nazaret – czyli nasze rodziny, nasze domy nie mogą mieć nic wspólnego z nie-miłością.

Niech zatem bł. Franciszka Siedliska ukazująca nam w Świętej Rodzinie piękny wzór życia rodzinnego, głębokich relacji, przebaczenia, przyjęcia siebie nawzajem towarzyszy nam w tej niezwykłej przygodzie budowania miłością naszych domowych Nazaretów.

Jezu, Maryjo, Józefie święty – opiekujcie się nami!

s. Maksymiliana Dojcz CSFN

[3] Ratio Zgromadzenia Sióstr Najświętszej Rodziny z Nazaretu, nr 45.
[4] Stowarzyszenia Najświętszej Rodziny przy Zgromadzeniu Sióstr Najświętszej Rodziny z Nazaretu.

Od autorki

Kiedy w 2010 roku, dzięki inicjatywie śp. s. Klary Żygo, ukazała się po raz pierwszy niniejsza książka, nie spodziewałam się, że zostanie przyjęta z takim zainteresowaniem. Jej nakład szybko rozszedł się nie tylko wśród członków i przyjaciół Stowarzyszenia Najświętszej Rodziny, ale i w Nazarecie, czyli w szeroko pojętym środowisku Zgromadzenia Sióstr Najświętszej Rodziny, oraz wśród tych, którzy Świętą Rodzinę kochają i chcą za Nią podążać. Przykład życia bł. Franciszki Siedliskiej, Założycielki Zgromadzenia Sióstr Nazaretanek, zaintrygował i zachwycił nie tylko mnie, ale i wielu czytelników tej pozycji. Bo niewątpliwie była to osoba niezwykła, której miłość do Boga, człowieka i do Kościoła zdumiewa i pociąga również współcześnie. Dlatego nie dziwi, że Kościół wyniósł Ją na ołtarze, czyniąc patronką rodzin.

Po dziesięciu latach z pomysłem rozszerzenia i uzupełnienia tejże publikacji zwróciła się do mnie s. Maksymiliana Dojcz, ówczesna dyrektorka SNR prowincji warszawskiej. Uznałam, że pomysł jest świetny i okazja również. Książka ukazuje się bowiem w roku świętowania 150-lecia powstania Zgromadzenia Sióstr Najświętszej Rodziny z Nazaretu. Niech zatem to dzieło będzie hołdem oddanym Założycielce, ale też wszystkim Jej córkom, które od tylu już lat szerzą Królestwo Bożej Miłości wśród siebie i wszędzie tam, gdzie Bóg je posyła z misją, zwłaszcza wśród rodzin.

To wydanie wzbogacone zostało o nowe rozdziały, pokazujące jeszcze pełniej osobowość i duchowość bł. Marii od Pana Jezusa Dobrego Pasterza. Niewiele tu fikcji, a jeżeli już pojawia się, jest raczej opisem prawdopodobnych zdarzeń, spotkań czy rozmów Matki Franciszki. Większość dialogów oparta jest na autentycznych źródłach, listach bądź świadectwach różnych osób, które znały Błogosławioną. Jedynie niektóre zdarzenia zostały ubrane w literackie ramy tak, by pełniej ukazać szczególne cechy osobowości Matki.

„Utkana z miłości" to książka dla czytelnika w każdym wieku, przeznaczona do rodzinnego czytania z dziećmi, dla młodzieży, ale również dla tych, którzy po raz pierwszy spotykają się z bł. Franciszką. Mam nadzieję, że takie pierwsze, proste spotkanie na kartach tej książki zachęci tych bardziej wymagających czytelników do sięgnięcia po inne, szersze opracowania życia i duchowości Franciszki Siedliskiej, zwykłej, a jednocześnie tak niezwykłej kobiety Kościoła drugiej połowy XIX w.

Pragnę bardzo serdecznie podziękować s. Maksymilianie Dojcz za zaufanie oraz za entuzjazm, którym zaraziła mnie, by uzupełnić tę pozycję. Dziękuję też wszystkim znanym mi Siostrom Nazaretankom za świadectwo ich pełnego radości i oddania życia, które pokazuje, że Bóg jest dobry i warto za Nim podążać!

Niech bł. Maria Franciszka Siedliska staje się odtąd również dla Ciebie, Drogi Czytelniku, wzorem szukania i odnajdywania dróg Jezusa Dobrego Pasterza.

Bożena Malec

12 listopada 1842 r.

Z pokoju wyszedł wysoki, barczysty mężczyzna. Jego spojrzenie, zwykle jasne i pogodne, tym razem pełne było smutku. Nie miał nic dobrego do powiedzenia. Nie niósł ze sobą żadnych pokrzepiających słów, żadnej nadziei. Zszedł wolno po schodach, mijając wbiegającą pośpiesznie, z naręczem czystego płótna, zalęknioną i płaczącą służącą.

– Pan dziedzic w gabinecie? – zapytał.

– Tak, proszę jaśnie pana.

Zanim zapukał do drzwi, usłyszał odgłos nerwowych kroków. „O Boże, jakżeż przyjmie to ten porywczy, gwałtowny człowiek?" – pomyślał tylko i chwilę potem wszedł do jasno oświetlonego pokoju z książkami licznie wypełniającymi półki.

– No i co, doktorze? – zapytał pan Siedliski bez chwili zwłoki, ujrzawszy wchodzącego lekarza.

– Przykro mi, ale nie mam dobrych wieści. Żona pańska urodziła dziewczynkę, ale dziecko jest tak słabe, że długo żyć nie będzie.

– A ona, moja żona?

– Małżonka pańska czuje się dobrze, choć jest bardzo wyczerpana.

– Cóż zatem? Trzeba ratować dziecko, wezwać lekarzy – pan Siedliski stanął przed mężczyzną, patrząc mu w twarz. – Przecież musi być jakiś ratunek! – krzyknął wzburzony.

– Wzywanie konsylium nic tu nie pomoże, to dziecko w żaden sposób żyć nie może, ale jeśli jaśnie pan sobie życzy, dziś wieczór jeszcze wezwę dwóch znakomitych doktorów na naradę tu, do Roszkowej Woli.

– Tak, niech pan tak zrobi, doktorze, ratujcie moje dziecko – zwrócił się do lekarza jeszcze raz pan Siedliski, tym razem z błaganiem w głosie.

Tego wieczoru trzech lekarzy znów przybyło do gabinetu pana Siedliskiego, powtarzając wcześniej postawioną diagnozę. Młody ojciec słuchał z rozpaczą słów najstarszego wiekiem doktora, kiwając tylko głową.

– Dobrze byłoby przyśpieszyć chrzest, panie Siedliski. Przykro nam, ale to dziecko długo żyć nie będzie.

Już w kilka dni po narodzinach dziewczynki, 20 listopada 1842 r. po południu, w wigilię Ofiarowania Najświętszej Maryi Panny, jej rodzice Cecylia z Morawskich i Adolf Siedliski przynieśli ją do chrztu. Nadano jej imiona Franciszka Anna Józefa.

Kolejne dni, miesiące i lata pokazywały, że lekarze mylili się, a nad życiem Frani kto inny miał władzę. Dziecko, u którego stwierdzono wrodzoną wadę kręgosłupa, choć przez pierwsze trzy lata nie podnosiło się samodzielnie z łóżeczka, rosło, wzmacniało się i w końcu zaczęło chodzić.

Bądź moją Matką!

– Mamo, mamo, zobacz! – zawołała dziewczynka, wbiegając do pokoju matki. – Zakwitły już krokusy!

– Widzę, córeczko! – odparła słabym głosem pani Cecylia, lekko podnosząc się z łóżka, na którym półleżąc, półsiedząc zatopiona była w lekturze jakiejś książki. Jej czoło przykrywał zwilżony okład, gdyż panią Cecylię bardzo często bolała głowa. W kilka lat po przyjściu na świat Frani urodził się młodszy brat Adaś, co jeszcze bardziej nadszarpnęło zdrowie pani Cecylii. Dzieci rosły zatem najczęściej pod okiem służby, gdyż matka, słaba i chorowita, nie zajmowała się nimi wiele. Dziewczynka wzrastała w bogactwie domu rodzinnego, otoczona liczną służbą, chętnie spełniającą jej wszelkie potrzeby. Teraz

też pani Cecylia odezwała się po chwili, zwracając się do dziewczynki, która rozsiadła się na krześle przy stole, próbując ułożyć z przyniesionych krokusów mały bukiecik:

– Proszę, Franciszko, nie baw się tutaj, głowa mnie boli. Zawołaj mi tylko Rózię.

– Tak, mamusiu, już idę, przepraszam. Rózia zaraz przyjdzie.

Dziewczynka szybko wyszła z pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi. W korytarzu zatrzymała biegnącego Adasia, który wracał właśnie z podwórza z jakąś swoją chłopięcą zdobyczą i chciał ją pokazać mamie.

– Franiu, dlaczego nie możemy pójść do mamusi? – zapytał wyraźnie zawiedziony chłopiec. – Nie widziałem mamy już od kilku dni.

– Wiem, Adasiu, ale mama jest bardzo słaba, boli ją głowa i nie możemy jej teraz przeszkadzać. Jak poczuje się lepiej, wtedy ją zobaczysz – próbowała tłumaczyć małemu Frania. – Chodź, pobawimy się razem.

Kilka dni później pani Cecylia osłabła jeszcze bardziej, dzieci chodziły na palcach, służba uwijała się szybko. Lekarz sprowadzony z Warszawy kręcił tylko smutno głową. Frania udała się do swego pokoju, w którym wisiał obraz Matki Bożej Częstochowskiej, ofiarowany jej kilka lat temu przez właściciela Hotelu Polskiego w Ciechocinku. Przerażona ciężką chorobą matki uklękła przed obrazem i modliła się:

– O, Matko moja, zachowaj nam mamę! – dziewczynka wpatrywała się w pełne powagi, piękne oblicze czarnej Madonny. I po chwili nieśmiało poprosiła:

– Bądź Matką moją!

Wkrótce pani Cecylia poczuła się lepiej na tyle, że swój czas zamiast w łóżku spędzała w fotelu obok.

Zagubiony ołówek

Gdy Frania miała 10 lat, rodzice postanowili zatrudnić do niej nauczycielkę, by zatroszczyć się o wykształcenie, jakie panienka z dobrego domu powinna posiadać, by zabłysnąć w towarzystwie i w przyszłości wyjść korzystnie za mąż. Frania miała zacząć się więc uczyć gry na fortepianie, śpiewu i tańca. Pierwszą nauczycielką była kobieta w starszym wieku, niezwykle pobożna i szlachetna. Bardzo szybko zdobyła sobie serce Frani i młodszego od niej Adasia. To ona uczyła dzieci modlić się, prowadziła je do kościoła, dużą wagę przywiązywała do lekcji religii. Pewnego dnia guwernantka z Franią, wracając z porannego spaceru, weszły do kościoła. We wnętrzu panowały cisza i spokój, nie było prawie nikogo, jedynie w głębi pod ścianą klęczała jakaś staruszka, lekko kiwając głową. Frania uklękła w ławce obok nauczycielki.

– Franiu, złóż ręce i odmówimy razem *Ojcze nasz* – powiedziała kobieta.

Dziewczynka złożyła posłusznie ręce, wpatrując się w widniejący w głębi kościoła ołtarz, który tonął w lekkim półmroku. Jedynie mała świeczka stojąca przy tabernakulum dawała trochę blasku.

– Ojcze nasz – zaczęła nauczycielka – któryś jest w niebie…

Franciszka przyłączyła się do modlitwy. W ciszy świątyni ich słowa brzmiały jak piękna melodia…

– Proszę pani – po cichutku zapytała Frania, gdy skończyły – jakie jest niebo?

– Zobaczysz sama, Franciszko! – odpowiedziała równie cicho kobieta z lekkim uśmiechem na wargach. – Jak będziesz dobrze żyła i na niebo zasłużysz. Zobaczysz wtedy sama. A teraz chodźmy.

Wyszły z kościoła, kierując się w stronę placu Bankowego, gdzie mieścił się dom dziadka Józefa Morawskiego, dyrektora w ministerstwie skarbu, u którego, podczas pobytu w Warszawie, mieszkała

rodzina Siedliskich. Właśnie miały skręcić w ulicę Elektoralną, gdy pod ścianą kamienicy Frania dostrzegła małego chłopca. Tulił się do muru, głośno płacząc.

– Co ci jest? – szybko podeszła do niego Frania. – Dlaczego płaczesz?

– Zgubiłem ołówek – zaczął opowiadać ośmioletni chłopiec – a muszę iść do szkoły. Mama dała mi ostatnie pieniądze. Kupiłem sobie nowy i właśnie go zgubiłem. Nie mam pieniędzy, by kupić jeszcze jeden. I mama też nie ma. Jak ja teraz pokażę się w szkole bez ołówka? – zaszlochał.

– Ja mam pieniądze! – zawołała z zapałem Frania. – Proszę pani, mam w fartuszku kilka groszy, które wczoraj dał mi dziadek na ciastka. Czy mogę je oddać?

– Oczywiście, Franiu. Jeśli tylko chcesz zrezygnować z ciastek, a ofiarować pieniądze temu chłopcu – powiedziała nauczycielka.

– Tak! Proszę bardzo, weź te grosze i idź kupić sobie ołówek – Frania wyciągnęła z kieszeni pieniądze i podała z radością chłopcu. – I pędź do szkoły, bo się spóźnisz!

Chłopiec chwycił pieniądze, chciał ucałować rękę Frani, ale ta zabrała swoją dłoń, więc tylko skłonił się nisko, wołając:

– Dziękuję panience bardzo, dziękuję! I jaśnie pani też dziękuję! Bardzo dziękuję! Jaka panienka dobra! Jaka dobra!

Frania stała jeszcze chwilę na ulicy, ściskając mocno dłoń swojej nauczycielki. Była szczęśliwa, że odmówiła sobie ulubionych ciastek i przyszła z pomocą potrzebującemu.

Biedne dziecko

Wiatr hulał za oknem, co jakiś czas wydając głośne jęki i stukając o lekko przymknięte okiennice. Frani wydawało się, że ktoś chodzi pod oknem, a nawet woła o pomoc. Schowała głowę pod pierzynę, ale pot oblewał ją coraz mocniej, nie wiadomo czy z gorąca, czy z lęku, który coraz bardziej ściskał jej serce. Słabowita dziewczynka, choć miała już około 12 lat, bała się nocy i wszystkich dźwięków, dochodzących z zewnątrz. W pomieszczeniu było ciemno, w mroku widziała tylko zarysy przedmiotów, szafy stojącej w głębi pokoju i małego sekretarzyka, prezentu od dziadka Morawskiego, przy którym na co dzień odrabiała lekcje. Po drugiej stronie stało łóżko panny nauczycielki. Frania słyszała, że oddycha głęboko, czasem z lekka pochrapując. Pewnie śni o swoim narzeczonym, o którym stale opowiada dziewczynce. To ona powiedziała, że taka duża dziewczynka, jak Frania, nie może spać już w pokoju matki. Tatko, jak to tatko, zaśmiał się tylko, przyznając nauczycielce rację i tak oto Frania od kilku już tygodni śpi w jej pokoju, z dala od mamy.

– O, jak bardzo bym chciała spać przy łóżku mamusi, móc słuchać jej oddechu albo wślizgnąć się do cieplutkiego łóżka. Och, mamusiu!

Frania westchnęła żałośnie, ale nauczycielka przewróciła się na drugi bok i spała dalej. Po chwili cichutkiego płaczu dziewczynka wysunęła nogi spod pierzyny, usiadła na łóżku, przyzwyczajając wzrok do ciemności. Była już zdecydowana, nie będzie spała w tym pokoju. Woli raczej siedzieć przy łóżku mamy, niż zostać tutaj. Cichutko podniosła się z posłania i wolno na palcach ruszyła w stronę drzwi.

– Oby tylko nie skrzypnęły jak zwykle – powtarzała w duchu – oby nie skrzypnęły... – Nacisnęła delikatnie klamkę i powolutku zaczęła otwierać skrzydło ciężkich drzwi. Nagle wydało jej się, że panna Janina jęknęła. Frania wstrzymała oddech, czekając na rozwój wypadków. Uff, z głębi pokoju słuchać było równy oddech nauczycielki. Nagłym ruchem otworzyła szerzej drzwi i wyślizgnęła się do sieni. Stamtąd na bosych paluszkach szybko przebiegła do pokoju matki. Tu też trzeba było cicho otworzyć drzwi. Jednak nie bała się, bo nawet gdyby matka się obudziła, to przecież nie odeśle jej z powrotem do pokoju nauczycielki, myślała z nadzieją panienka. Drzwi lekko skrzypnęły, kiedy Frania weszła, ale

mama nie obudziła się. Stanęła, by znów przyzwyczaić wzrok do mroku pokoju. Po chwili, doskonale znając rozstawienie sprzętów, podeszła do łóżka i usiadła na stojącym obok krześle. Nie miała śmiałości, by wsunąć się do środka.

Cieniutka batystowa koszulka przykrywała ciałko, które z każdą chwilą robiło się coraz chłodniejsze. Frania odczuwając chłód, przyciągnęła kolana do góry i nakryła je koszulą. Było trochę cieplej, ale już wkrótce chłód wrześniowej nocy dał o sobie znać.

– Matuchna na pewno mnie nie skrzyczy, tylko przytuli do siebie – dziewczynka patrzyła na zarys postaci matki wyłaniający się spod pościeli i marzyła, by mama się obudziła. Ta jednak spała mocno, równo oddychając.

Mijały chwile. Frania nie wiedziała, jak długo siedziała już przy łóżku, czasem wpadała tylko w jakiś sen, budząc się z niego szybko i rozcierając rękami zmarznięte ciało.

– Co ty tu robisz, panienko? – rozległ się szept Stefci, pokojówki mamy, która często miło zagadywała do dziewczynki, odpowiadając na liczne pytania dziecka. – Zobaczyłam półotwarte drzwi… O Panno święta, jakaś ty zmarznięta! Chodźże stąd! Choroba gotowa! To dopiero pan się będzie gniewał! – Kobieta wzięła na ręce zmarzniętą Franię i wyniosła ją z pokoju, starannie zamykając drzwi.

– Zabiorę panienkę do bokówki, do mego łóżka, żeby się panienka rozgrzała. Polecę do kuchni i zagrzeję odrobinę mleka. Może kucharka mnie rano nie skrzyczy.

Dobra kobieta zaniosła dziewczynkę do swego pokoju, okryła dokładnie pierzyną i po chwili przyniosła w kubku ciepłe mleko. Frania dygotała z zimna.

– Co panience do głowy przyszło, żeby iść w nocy do pokoju pani i tam siedzieć przy łóżku?

– Nie mogłam zasnąć, wiatr tak hulał, psy szczekały, było tak ciemno – opowiadała dziewczynka, pijąc ciepłe mleko. – Myślałam, że może mamusia nie śpi albo że się obudzi i pozwoli mi spać ze sobą. Ja się tak bałam… – szepnęła cichutko. – Ale nie odeśle mnie Stefcia do pokoju?

– Och, moje biedactwo! Niech panienka się nie boi, zostanie panienka do rana ze mną. Niech się panienka posunie, zaraz panienkę rozgrzeję – pokojówka wsunęła się do łóżka, przytulając do siebie Franię.

– Jaka ty jesteś dobra, Stefciu, dziękuję Ci.

– No, no, niech panienka już śpi – szeptała wzruszona kobieta, która bardzo lubiła tę małą dziewczynkę i szczerze jej współczuła. Służba nieraz użalała się nad losem panienki Frani, która wyróżniała się wrażliwością i niezwykłą dobrocią. Pani, stale zajęta sobą i swoimi chorobami, nie troszczyła się o dzieci. A pan w rozjazdach, więcej go nie było, niż był w domu, a jeśli się pojawiał, często w towarzystwie wielu gości. Kto by tam dbał o dzieci. Panny nauczycielki różne się trafiały. „Panicz Adaś – myślała – jest inny, choć młodszy, ale jakby twardszy, a Frania – biedne, opuszczone i zaniedbane dziecko… Jakim będzie człowiekiem? Co z niej wyrośnie?" – zastanawiała się kobieta.

– Wiesz, Stefciu, jak kiedyś będę miała swoje dzieci – odezwała się sennym głosem dziewczynka – to będę się o nie troszczyć tak jak ty, będę je przytulać, rozmawiać z nimi, śmiać się … i będę je kochać… – Frania zasnęła, a Stefcia, prosta, dobra dziewczyna ze żdżarskiej wsi, długo jeszcze tuliła małą, modląc się do Świętej Panienki, by otaczała ją swoją opieką i miłością, czego brakowało jej w tym domu.

Fortepian Pana Boga

Rodzice Franciszki, jak większość ówczesnego polskiego ziemiaństwa, nie byli ludźmi zbyt pobożnymi. Pani Cecylia, mimo odebranego chrześcijańskiego wychowania, była dość obojętna w praktykach życia religijnego. Pan Siedliski chętnie przeznaczał spore sumy pieniędzy na różne kościoły

i zakony, ale był obojętny, a nawet przeciwny wielu praktykom religijnym. Dawał swym dzieciom wszystko, oprócz Boga. Pierwsza nauczycielka Frani zasiała ziarno wiary, ale niestety, zmarła dość szybko. Dziewczynka pozostała sama ze swoją tęsknotą za czymś czy może do czegoś, czego sama nie potrafiła jeszcze wówczas nazwać.

Tego dnia 12-letnia Franciszka odbywała kolejną lekcję fortepianu. Miała uzdolnienia muzyczne, stąd ojciec zatrudniał najlepszych nauczycieli, by je rozwijać. Nagle gamy i pasaże przerwała służąca, informując, że panienka pilnie wzywana jest do pokoju matki. Zdziwiona tym dziewczynka – jako że nigdy dotąd nie zdarzyło się coś podobnego – spojrzała na nauczyciela, który skinął przyzwalająco głową. Kiedy po chwili weszła do salonu, zobaczyła wychudzonego, bladego zakonnika w brązowym habicie z grubego sukna ściągniętego sznurem. Na bosych stopach miał sandały, a głowę przykrywał kaptur. Podszedł do Frani, uniósł rękę i na czole nakreślił znak krzyża.

– Czy chcesz dziecko, żebym nauczył cię kochać Pana Jezusa? – zapytał.

Zdumiona dziewczynka spojrzała na zakonnika i jakby nagle otworzyły się jej oczy. Poczuła się tak, jak gdyby ktoś chciał jej podarować najwspanialszy upominek, na który czekała od dawna.

Od tej pory zaczęły się regularne spotkania z o. Leandrem Lendzianem, kapucynem, który przygotowywał ją do pierwszej Komunii świętej. Panienka chłonęła każde słowo, które otwierało przed nią nowy świat, ukazywało życie nadprzyrodzone, uczyło miłości do Pana Jezusa. Lekcje katechizmu odbywały się często w pokoju, w którym stał fortepian. Pewnego razu ojciec Leander, dotykając instrumentu, powiedział do Frani:

– Stój przed Bogiem, Franiu, jak ten fortepian. Pozwól, aby Bóg wydobywał z ciebie tony i akordy wedle tego, jak Jemu się podoba – zakonnik dotknął klawiszy i zagrał kilka głośnych, fałszywych akordów, na które wrażliwa Frania się skrzywiła. – Gdy sama zechcesz grać, według twoich myśli i uczuć, zagrasz fałszywie – tak jak ja teraz. Pamiętaj, że Boga i Jego łaski należy szukać nie po ludzku, ale trzeba pozwolić Mu się prowadzić. Kochaj Pana Jezusa, miłuj Go całym sercem, bo On jedynie jest godzien twej miłości.

Frania, która bardzo lubiła muzykę i chętnie siadała do fortepianu, grała teraz inaczej. Muzyka, wychodząca spod jej palców, jakby ożywiła się, brzmiała głębiej, piękniej. Dziewczynka często odtąd myślała o niebie, o szczęściu, jakie tam musi panować. Zdawało jej się czasem, że wraz ze śpiewającymi aniołami przygrywa Panu Bogu.

Pierwsze spotkanie

Frania leżała w łóżku, nie mogąc zasnąć. Myśl o tym, co czeka ją jutro, nie pozwalała jej spać. Słysząc równy oddech mamy, usiadła na posłaniu. Mama spała dalej. Dziewczynka uklękła obok łóżka, złożyła ręce do modlitwy i patrząc na krzyż wiszący na ścianie, widoczny w lekkiej poświacie księżyca, zaczęła się modlić.

– Panie Jezu, mój dobry Jezu, już jutro mam przyjąć Cię do mego serca. Nareszcie zamieszkasz we mnie, będziesz tak blisko, w moim sercu.

Frania długo powtarzała słowa radości i szczęścia, pragnienia i tęsknoty, zapraszała Pana Jezusa do swego życia. Gdy w końcu za oknem zaczęło szarzeć, dziewczynka położyła się na poduszce i po chwili usnęła z uśmiechem na ustach.

Dzień wstał słoneczny, ciepły. Był wtorek, 1 maja 1855 r. Przed południem Frania wraz z mamą udały się do kościoła ojców kapucynów przy ulicy Miodowej w Warszawie. Długo musiały przedzierać się przez tłum wiernych zgromadzonych w nawach kościoła. Najpierw dziewczynka przystąpiła do spowiedzi, a potem długo jeszcze czekała z niecierpliwością i tęsknotą na ten najważniejszy moment.

Wreszcie Frania, ubrana w białą sukienkę, z wiankiem na głowie, uklękła na stopniach ołtarza, obok innej panienki. Powtarzała w myślach tylko jedno zdanie: „Panie Jezu, czekam na Ciebie". Kiedy poczuła w ustach Hostię, jej serce biło gwałtownie i radośnie. Znikło wszystko sprzed oczu, z myśli, z uczuć. Pozostała tylko jedna myśl i jedno uczucie: „Pan Jezus, Bóg mój przychodzi do mnie". Brakowało jej słów, z przejęciem, miłością i radością pochyliła się, powtarzając, że nigdy nikogo nie będzie kochać ani do nikogo należeć, tylko do jedynego Pana Jezusa.

W końcu mama musiała ją dotknąć, by Frania powróciła do rzeczywistości. W domu czekali na nią ojciec oraz goście, a po południu odbyła się uroczystość rodzinna. Dziewczynka grzecznie rozmawiała z gośćmi, słuchała komplementów, odbierała cenne prezenty. Jednak nic jej tak nie cieszyło, nie interesowało, jak świadomość przybycia do jej serca wyjątkowego Gościa, który odtąd będzie Panem i Oblubieńcem jej duszy.

Na misje!

Frania musiała czekać aż pięć tygodni, by po raz kolejny w swym życiu przyjąć Pana Jezusa do serca. Jej druga komunia św. zbiegła się z uroczystością bierzmowania, która odbyła się 8 czerwca. Sakramentu bierzmowania udzielił jej arcybiskup warszawski Antoni Fijałkowski. Dziewczynka była tak szczęśliwa, że zdawało się jej, że całe niebo posiada: rano przyjęła Pana Jezusa w komunii św., a po południu Ducha Świętego. Franciszka obrała imię Maria.

Tego właśnie dnia po raz pierwszy znalazła się za murami klasztoru. Będąc wnuczką dyrektora Morawskiego, który był w przyjaźni z arcybiskupem, a jednocześnie dobroczyńcą klasztoru sióstr sakramentek, Frani pozwolono przekroczyć próg klauzury. Wieczorem, po powrocie do domu, z wrażenia nie mogła sobie znaleźć miejsca. Zawołała więc Adasia, który nie brał udziału w ceremonii siostry i opowiadała mu swoje przeżycia.

– Ach, Adasiu, kiedy znalazłam się wśród klasztornych korytarzy, wśród modlących się sióstr, miałam wielką ochotę tam zostać. Ach, zostać wraz z nimi, żeby w modlitwie i cichości służyć Panu Jezusowi, wiesz, z dala od wszystkich.

Frania chwyciła rękę brata i pociągnęła go w kierunku ganku.

– No i co? – dopytywał Adaś.

– Ale czułam, że jeszcze nie nadszedł mój czas, że to nie jest miejsce dla mnie – zamilkła na chwilę, mocniej ściskając rękę chłopca. – Ale byłam tam taka szczęśliwa! I wiesz, Adasiu, myślę, że muszę coś robić. Mam w sobie taką moc, siłę, taką odwagę, by głosić Pana Jezusa. Ja muszę iść do pogan, żeby nie zasmucać Ducha Świętego, którego dziś otrzymałam.

Frania zaczęła chodzić po ganku, ciągnąc za sobą brata, i gorączkowo przekonywała go:

– Adasiu, musimy razem iść, głosić Pana Jezusa poganom gdzieś w dalekich krajach.

– Tak, będziemy nawracać dusze biednych pogan w Afryce – Adaś szybko przyłączył się do wizji siostry, wpatrując się już w swojej wyobraźni w groźnych Murzynów z wielkimi dzidami i łukami, którzy pod wpływem słodkich słów Franciszki, odkładają straszną broń na bok.

– No właśnie – kontynuowała Frania – będziemy nawracać dzikie narody, a jak trzeba, umrzemy męczeńską śmiercią dla Pana Boga. – Dzieci długo jeszcze spacerowały po ganku, widząc siebie jako misjonarzy z radością głoszących Dobrą Nowinę. Żadne z nich nie przeczuwało, że w przyszłości Franciszka przemierzy wiele krajów i oceanów, by tworzyć dzieło apostolskie i dzielić się miłością Pana Jezusa.

Ja nie chcę za mąż!

Kiedy Frania skończyła siedemnaście lat, jej ojciec postanowił wydać córkę za mąż. Była, wedle ówczesnego rozumienia, panną na wydaniu, którą trzeba zaprezentować w modnych strojach, w odpowiednim towarzystwie, według obowiązujących zasad. Pod koniec 1859 roku dziewczynę zmuszono do wyjazdu do Warszawy i przygotowań do pierwszego w jej życiu karnawału. Wiązało się to z lekcjami tańca, do których zatrudniono pewnego baletnika z teatru warszawskiego.

Franciszka nie była może zbyt ładna, ale miała w sobie wiele uroku. Niezwykle muzykalna, szczupła, delikatna dziewczyna szybko zyskała pochwałę nauczyciela tańca, wywołując radość i budząc nadzieje swego ojca. Jej samej niekiedy te lekcje sprawiały przyjemność, co napawało ją lękiem. Obawiała się czekającej ją przyszłości, konieczności ubierania się zgodnie z obowiązującą modą w stroje, które, według niej, nie pasowały do jej więzi z Panem Jezusem. Frania szukała listownie rady u swego spowiednika, o. Leandra, przebywającego wówczas w Lublinie. Po otrzymaniu od niego niejasnej odpowiedzi na swoje wątpliwości, dziewczyna postanowiła sprzeciwić się stanowczo rodzicom i nie brać udziału w balach, przyjęciach, tak jak zwykle robiły to panienki w jej wieku i czego oczekiwali rodzice, zwłaszcza ojciec. Ta decyzja rozpoczęła bardzo bolesny okres w jej życiu, a także w życiu całej rodziny.

Pewnego wieczoru, po powrocie z podróży w interesach, ojciec zawołał córkę do swego gabinetu i z poważną, ale wielce zadowoloną, miną oznajmił jej, że pierwszy bal, na którym ma zostać przedstawiona w towarzystwie, odbędzie się już wkrótce w jego domu. Usłyszawszy te słowa, dziewczyna zbladła. Postanowiła nie chować głowy w piasek, ale przedstawić ojcu swoje postanowienie. Drżąc ze strachu, zwróciła się do niego:

– Kochany tatko, ja błagam, żeby mi tatko nie kazał chodzić na bale i różne przyjęcia. Po cóż mam łudzić rodziców, kiedy to wszystko nic nie pomoże.

– Ależ Franiu, co ty pleciesz? – zawołał ojciec. – To jakieś mrzonki. Wytłumacz mi, dlaczego nie chcesz iść na bal, przecież jesteś młoda, musisz wyjść za mąż.

– Nie chcę wychodzić za mąż. Nikt nie zmusi mnie do małżeństwa – powiedziała i po chwili dodała z uporem. – A jeśli ojciec na siłę zechce mnie wydać za mąż, ani nie będzie wiedział, kiedy i gdzie ucieknę z domu, ani nie znajdzie mnie, bo się skryję w jakimś zakonie.

Jej wypowiedź wywołała gniew u porywczego ojca, który zerwał się z fotela i zaczął krążyć po pokoju:

– Toż to jakieś banialuki! To wszystko wina tego burego zakonnika, tego o. Leandra i twojej matki. To niepodobna, byś nie miała wyjść za mąż, nie bywać na balach, nie tańczyć. Dziecko, wytłumacz mi, dlaczego?

Frania przyklękła przy ręce ojca, pocałowała ją i zapewniła:

– Będę twoim najlepszym dzieckiem, ale z dala od wszystkiego i wszystkich.

– Ale dlaczego, dziecko, wytłumacz mi, dlaczego?

– Kochany tatko, wierzę, że jestem własnością Pana Jezusa – Frania wstała z kolan, wyprostowała się i z całą godnością, patrząc prosto w oczy zagniewanego ojca, tłumaczyła: – A jak świątyni Bożej nie można bez wielkiego świętokradztwa przeznaczyć na inny użytek niż na służbę Bożą, tak i mnie się zdaje, że każde moje zetknięcie z ludźmi, ubieranie się według światowych wymagań, taniec, te rozmowy o niczym, to pokazywanie się oczom ludzkim – wszystko będzie jakby znieważeniem świątyni, która Panu Bogu została poświęcona.

Ojciec stał wpatrzony w córkę, zdumiony jej silnym i mocnym głosem, ale nie mógł opanować gniewu i oburzenia, które w nim było.

– Dziecko, przecież te wszystkie rzeczy to nie grzech!

– Ale mnie też nie o grzech chodzi. Mnie się zdaje, że myślenie w stosunku do Pana Boga tylko o tym, by nie zgrzeszyć, to jeszcze bardzo mało. To miłość służalcza! – dziewczyna umilkła, a po chwili ciszej dodała: – O coś więcej tu chodzi, ja nie chcę niczym zranić Pana Jezusa, nie zdradzić Go nawet w najmniejszej rzeczy.

Rozmowa skończyła się atakiem gniewu i złości ojca, a na Franię spadało odtąd mnóstwo wyrzutów ze strony najbliższych. Posądzano ją o upór i egoizm. Jednak jej czyste jak kryształ serce było przekonane, że Pan Jezus tak chce, dlatego nie dyskutowała, nie broniła się, ale modliła i milczała. Starała się być stale wesoła, swobodna, zadowolona, by wszyscy widzieli, że służąc Bogu jest szczęśliwa. Wielkim smutkiem napawało ją ukrywanie faktu chodzenia do spowiedzi i do komunii św., gdyż ojciec surowo tego zabraniał. Wstawała więc niekiedy bardzo wcześnie, gdy ojciec spał jeszcze, by iść na Mszę św. lub też poranne lekcje z nauczycielką odbywała na czczo[5], by pod pozorem spaceru koło południa udać się do jakiegoś kościoła. Te wszystkie emocje, trudy, osobiste posty i wyrzeczenia, które podejmowała młoda, ale chorowita dziewczyna sprawiły, że jej zdrowie znacznie się pogorszyło. Lekarze zalecili wyjazd na kurację za granicę.

Żebyś mnie nie opuściła…

Decyzja o wyjeździe była dla osiemnastoletniej Frani powodem do radości, że nikt nie będzie zmuszał jej odtąd do bywania na balach i przyjęciach. Mniej interesowały ją podróże, zwiedzanie nieznanych miejsc czy zabytków sztuki. Cieszył ją pobyt w górach, bo zdawało jej się, że tam dusza jest bliżej Pana Boga. Z radością codziennie odmawiała Psalm 121: „Wznoszę swe oczy ku górom. Skądże nadejdzie mi pomoc?”. W drodze do Merano, słynnego uzdrowiska w Alpach, rodzina odwiedziła Częstochowę i Jasną Górę, gdzie Franciszka spędziła wiele długich chwil w kaplicy z Cudownym Obrazem. Ważnym etapem był też kilkudniowy postój w Krakowie, gdzie wyraźnie czuło się narastające oczekiwanie na przygotowywane powstanie narodowe. Tu, w 1860 r. w Krakowie, gdzie pod zaborem austriackim panowały większe swobody niż w innych zaborach, Frania usłyszała orkiestrę wojskową grającą „Jeszcze Polska nie zginęła” i jej serce zadrżało dumą, że jest Polką, a nastrój patriotyzmu ogarnął ją całą.

Pobyt w górach w Merano, a potem podróże do Szwajcarii, Bawarii czy Francji przyniosły pogorszenie stanu zdrowia. Lekarze orzekli początki gruźlicy. Panienka spędzała czas na samotnych spacerach, a widok cudownej natury otwierał jej duszę przed Panem Bogiem, jeszcze bardziej pogłębiając jej życie modlitewne. Jedną z wielkich intencji, jakie miała, była modlitwa za ojca, który nadal z niechęcią patrzył na jej praktyki. Sytuacja uległa zmianie, gdy w Polsce wybuchło powstanie styczniowe, które pan Siedliski mocno wspierał, zwłaszcza finansowo. Kiedy w połowie 1863 r. dołączył na pewien czas do żony i córki, przebywających wówczas w Cannes, we Francji, widać było w nim dużą zmianę, związaną z przeżyciami powstańczymi, ale też represjami, które dotknęły także jego oraz rodzinny majątek. Przyjazd pana Adolfa zbliżył na nowo ojca i córkę. Choć powstanie jeszcze trwało, jednak sytuacja była na tyle trudna, że nie dawała nadziei na zwycięstwo. Niezwykle przybity narodową tragedią, chętnie dzielił się kłopotami i zmartwieniami dotyczącymi również rodzinnego majątku, a zwłaszcza posagu córki, jakim była Roszkowa Wola. W czasie jednego ze spacerów ojciec na nowo wrócił do kwestii małżeństwa Frani.

– Tatku, niech mnie tatko nie zmusza – powiedziała Frania, chwytając i całując ojca w rękę. – Ja nie mogę pójść za mąż.

[5] W tym czasie można było przystąpić do komunii św. wyłącznie na czczo.

– Wiem, Franiu, teraz nie możesz, ale jak wyzdrowiejesz, jak będziesz silniejsza…

– Tu nie idzie o moje zdrowie i siły. Widzi, tatko, Pan Jezus przez swoją łaskę raczył mnie wybrać dla siebie, oprócz Niego ja nikogo znać nie chcę.

Ojciec słuchał ze zdziwieniem dalszych cichych, ale zdecydowanych słów córki. Nie krzyczał już, nie denerwował się, ale wpatrywał się w jej spokojne oblicze, na którym widniała stanowczość, duma i blask jakiś nieznany mu, ale porywający, przekonujący.

– Tatko mnie kocha – mówiła dalej Franciszka – i chce mnie widzieć szczęśliwą. Zapewniam ojca, że Pan Bóg da mu tę pociechę, że będzie mnie widział w życiu zawsze szczęśliwą.

– Jakżeż tyś się zmieniła, moje dziecko – westchnął pan Siedliski. – Ile w tobie siły i rozwagi, ile mądrości i dobra. Chyba nie mam innego wyjścia, jak zgodzić się z tobą. Tylko żebyś mnie, póki żyję, nie opuściła.

Franciszka szczęśliwa padła w ramiona ojca. Od tej chwili jeszcze bardziej modliła się, by ojciec nie tylko zgodził się na jej drogę życia, ale by sam odnalazł swoją drogę do Pana Jezusa.

Łaska nawrócenia

– Dajcie mi święty spokój, co za babskie gadanie, idźcie sobie same do spowiedzi! – wołał podniesionym głosem pan Adolf Siedliski, kiedy zbliżała się Wielkanoc 1864 r. i pani Cecylia prosiła męża, by skorzystał ze spowiedzi przedświątecznej tak jak wielu znajomych, z którymi jej mąż chętnie spotykał się podczas długich miesięcy pobytu w Hyères we Francji.

– Ale, tatko, my cię tak prosimy – dodała Franciszka, dotykając ręki ojca siedzącego w fotelu. – Tu chodzi o twoją duszę.

– Dość tego! Co was to obchodzi? To wyłącznie sprawa między mną a Panem Bogiem – powiedział gwałtownie i szybko wstał z fotela. – A o moją duszę już wy się nie martwcie – odwrócił się i wyszedł z pokoju.

Matka i córka spojrzały bezradnie na siebie.

– Musimy dalej się modlić – odezwała się po chwili Franciszka – i tak jak mówi ojciec Hube, okazywać mu więcej serca.

Minęła Wielkanoc i nadchodziło święto Wniebowstąpienia Pańskiego. Kończył się okres spowiedzi wielkanocnej. Kiedy tego ranka Franciszka z mamą wróciły ze Mszy św., pani Cecylia, za radą o. Hube, znów zwróciła się do męża, czytającego gazetę w fotelu.

– Mój drogi, czas spowiedzi wielkanocnej się kończy, a ty nie myślisz, żeby z tego skorzystać i się wyspowiadać? Gubisz swoją duszę i nam jeszcze dodajesz boleści – urwała, widząc zagniewaną twarz męża.

– Znów zaczynasz? Nie zamierzam iść do żadnej spowiedzi.

Frania kucnęła przy fotelu, obejmując ojca i całując jego ręce.

– My chcemy tylko dobra dla tatki. To tylko nasza troska o tatkę i o tatki duszę – mówiła.

– Dajcie mi spokój! – zerwał się zagniewany. – Już wam mówiłem tyle razy, że to moja sprawa.

Niespodziewanie rozległo się pukanie do drzwi.

– Proszę – zawołał pan Siedliski. W drzwiach stanął uśmiechnięty o. Hube, zmartwychwstaniec. – Jak dobrze, że ojciec przyszedł.

Pan Siedliski lubił tego zakonnika, człowieka o głębokiej kulturze, który chętnie podejmował z nim rozmowy na różne tematy, także religijne i ze spokojem, i cierpliwością wyjaśniał mu czasem zawiłe kwestie.

– Proszę, niech ojciec siada. My tu właśnie sobie dyskutujemy o różnych sprawach. – Obaj panowie zasiedli na krzesłach przy stole. Pani Celina z Franią usiadły naprzeciwko. Służąca podała po chwili herbatę i ciasteczka.

– Niechże ojciec jako rozumny człowiek – odezwał się po chwili pan Adolf zniecierpliwionym głosem – wytłumaczy tym głupim kobietom, że nie mają potrzeby płakać nad moją duszą… że nie muszą się troszczyć wcale o moją duszę.

– Panie Adolfie – zwrócił się spokojnym głosem o. Hube do pana Siedliskiego – a gdyby pan widział swoje chore, umierające dziecko i wiedział, że jest skuteczne lekarstwo na tę chorobę, a to dziecko tak się uparło, że nie chce zażyć tego leku, czy wtedy nie denerwowałby się pan, nie płakał nad jego uporem? A przecież tu chodzi o pana duszę, o wieczne zbawienie – zakonnik spojrzał na Franciszkę. – One, pana żona i córka, które pana prawdziwie kochają, bardzo to przeżywają i cierpią z tego powodu, że odrzuca pan jedyny sposób ratunku.

Pan Siedliski zerwał się gwałtownie z krzesła:

– Myślałem, że mówię do człowieka mądrego, tymczasem widzę, że się myliłem – odwrócił się i stanął przy drzwiach. – Płaczcie sobie państwo nad moją duszą, a ja wychodzę.

W pokoju zaległa cisza. Po chwili słychać było zamykające się z trzaskiem drzwi wejściowe. Zmartwychwstaniec został jeszcze chwilę z paniami, radząc, by na razie tematu nie podejmować z panem Siedliskim, a dalej z wiarą modlić się i prosić Pana Jezusa o łaskę nawrócenia.

Wieczorem, kiedy pan Adolf wrócił, wypił tylko herbatę z żoną i córką, i poszedł do siebie, rezygnując z codziennych rozmów z rodziną.

Było jeszcze wcześnie, gdy do pokoju, w którym spała pani Cecylia i Franciszka, wszedł odświętnie ubrany pan Siedliski. Zbliżył się do łóżka żony i chwilę z nią rozmawiał. Potem podszedł do łóżka Frani, uklęknął i skruszonym głosem zapytał:

– Dziecko moje, czy przebaczysz mi wszystko? Idę do spowiedzi, u której nie byłem od czasu ślubu. Wymodliłyście mi łaskę u Pana Boga – wzruszony wstał. – Módlcie się teraz za mnie. Pragnę z całym przekonaniem i z wiarą przystąpić do świętych sakramentów. – Jego czerwone od płaczu oczy patrzyły na córkę z radością i wdzięcznością.

Kiedy wrócił po paru godzinach po spowiedzi i komunii św., w domu panowała wielka radość. „Bóg zwyciężył – myślała Franciszka – jaka cudowna moc Boża zadziałała w duszy tatki".

Lata oczekiwania

Franciszka skończyła dwadzieścia trzy lata, gdy wróciła z matką z zagranicy. Miała jedno, coraz bardziej umacniane pragnienie: życie zakonne. Wierzyła, że osobiste spotkanie z o. Leandrem wyjaśni już wszystkie wątpliwości. Od dawna była bowiem przekonana, że to nim, jej spowiednikiem, posłuży się Pan Jezus, by ukazać jej dalszą drogę. Tymczasem o. Leander powiedział do Frani tylko tyle:

– Siedź spokojnie w domu z rodzicami i czekaj, co Pan Bóg wskaże.

Dla gwałtownej i pragnącej konkretnych wskazówek dziewczyny była to trudna rada, ale Franciszka była posłuszna spowiednikowi i jeszcze więcej czasu poświęcała na modlitwę i rozmyślania. Spędzała całe noce bezsennie, ofiarowując swe serce Panu Jezusowi. Tymczasem stan jej zdrowia pogarszał się coraz bardziej. Zrozpaczeni rodzice wezwali z Warszawy słynnego profesora, który po zbadaniu panienki oświadczył:

– To życie jest jak lampa, w której brakuje oliwy i lada chwila zabraknie jej całkiem i zgaśnie.

Rozpoczęła się długa, kosztowna, ale nieprzynosząca poprawy kuracja. Ciało Frani słabło coraz bardziej, była wątła i blada. Zdawało się, że życie z niej uchodzi i nawet jej matka, pani Cecylia, nie

pozostawała dłużej w jej pokoju, uciekając z płaczem. Kryzys trwał długo, ale Franciszka, nie do końca świadoma swego stanu, nie wpadała w rozpacz, modliła się stale, ściskając w ręce swój krzyżyk.

Mijały kolejne lata. Serce Franciszki rwało się do klasztoru, tęskniło za życiem ukrytym, mawiała: „Choćby w piecu chciałabym palić, byle w klasztorze". Parę razy przygodni spowiednicy radzili jej wstąpienie do karmelitanek, franciszkanek lub do wizytek. Ale jej głos wewnętrzny mówił: „To jeszcze nie to, nie nadeszła jeszcze chwila". W tym czasie niespodziewanie zachorował pan Siedliski. Ta długa, trwająca trzy lata, choroba zbliżyła jeszcze bardziej Franię i ojca. We wtorek po Wielkanocy 1870 r. pan Siedliski zmarł. Franciszka miała wrażenie, że wraz z nim i jej dusza uleciała.

Wydawało się, że po śmierci ojca nic już nie zatrzymuje Franciszki, by pójść do klasztoru. Tymczasem o. Leander kazał nadal czekać cierpliwie. Córka z matką zostały tercjarkami św. Franciszka[6]. Spędzały swój czas na modlitwie, dobrych uczynkach, haftowaniu różnych rzeczy dla kościołów. Dla Franciszki było to jednak za mało. Tęsknota i poczucie, że jest życie inne, lepsze, doskonalsze, do którego Pan Bóg ją pociągał, nie dawały jej spokoju. Pewnego letniego wieczoru Franciszka usiadła przy otwartym oknie w swoim pokoju. Wpatrywała się z zachwytem w księżyc i gwiazdy:

– Czyż zawsze będę czekać tak jak teraz? Czyż wy, gwiazdy i księżycu, nigdy nie będziecie przyświecać innemu memu życiu? Czy zawsze już będę tęsknić za życiem w pełni oddanym Bogu? Niczego nie pragnę, tylko Pana Boga! Wszystkie stworzenia, ty, śpiewający słowiku i wy, lilie wysokie i wyniosłe, i wy, dęby mocne, stuletnie, wychwalajcie ze mną Pana Boga mego! – Jej serce pełne tęsknoty i miłości długo jeszcze wyrywało się do swego Oblubieńca.

Tak minęło parę lat.

Jezusa na wieki

Na początku 1873 r. o. Leander oznajmił po raz pierwszy Franciszce, że wolą Bożą jest, aby została zakonnicą. Wreszcie spełniły się jej najgorętsze sny. Na tę chwilę czekała od tylu lat… Wkrótce też o. Leander, przez którego, jak wierzyła Franciszka, Bóg oznajmia jej swoją wolę, oświadczył, że ma założyć nowe zgromadzenie zakonne ku czci Matki Bożej w Nazarecie. Jednak 30-letnia Franciszka znów chorowała. Od kilku już miesięcy choroba kręgosłupa, a także podejrzenia gruźlicy, sprawiły, że całe dnie spędzała w łóżku. Kiedy tuż przed Wielkanocą przybył do domu w Żdżarach o. Leander, by wyspowiadać panią Siedliską i jej córkę oraz udzielić im komunii św., na nowo przedstawił zamysł Boży. Franciszka z pokorą i niepewnością zwróciła się do niego:

– Ojcze, jakże to się może stać, skoro jestem chora, bardzo chora i bliska śmierci?

– Jeśli uwierzysz – zakonnik spojrzał na nią, mówiąc pewnym siebie głosem – wyzdrowiejesz.

– Jeśli taka jest wola Boga, jestem gotowa – odpowiedziała Franciszka, schylając głowę i kładąc rękę na sercu.

Ku zdumieniu najbliższej rodziny, a przede wszystkim lekarzy, nazajutrz Franciszka wstała o własnych siłach, pełna życia i energii do nowych zadań, które ją czekały.

2 lipca tego roku w dniu Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny w kościele panien kanoniczek w Warszawie Franciszka na ręce o. Leandra złożyła trzy śluby: ubóstwa, czystości i posłuszeństwa. Niedługo potem wyjechała wraz z matką, p. Cecylią Siedliską, do Lublina, gdzie już od paru lat kilka pań w podeszłym wieku mieszkało razem, tworząc swoistą wspólnotę. Kobiety w swym codziennym życiu naśladowały życie ukryte Najświętszej Rodziny z Nazaretu. Choć nie brakowało środków finansowych do rozwoju nowego zakonu, nie było jednak kandydatek. Po śmierci jednej z nich, panny Marii

[6] Jest to trzeci zakon dla osób świeckich, żyjących w świecie, według duchowości św. Franciszka.

Wojewódzkiej, o. Leander miał nadzieję, że panna Siedliska będzie kontynuowała to lubelskie dzieło w nowym zgromadzeniu. Choć Franciszka wierzyła, że Bóg objawia jej swą wolę przez o. Leandra, brakowało jej jednak wewnętrznej pewności i przekonania, by pójść wskazywaną jej drogą. Po długiej i żarliwej modlitwie wezwała wszystkie starsze panie i przedstawiła im plan działania:

– Jeśli to Bóg powołał mnie do założenia nowego zgromadzenia, pragnę mieć przede wszystkim widzialny znak woli Bożej. Dlatego postanowiłam udać się do Rzymu i przedstawić swój zamiar Ojcu Świętemu. Jestem przekonana, że jeśli otrzymam pozwolenie i błogosławieństwo papieża, będzie to wyraźnym znakiem, że Bóg tego żąda.

– A co wtedy, jeśli Ojciec Święty nie zatwierdzi tego dzieła? – zapytała z lękiem panna Nęcińska.

– Jeśli papież powie „nie" – Franciszka przerwała na chwilę – wówczas ze wszystkiego zrezygnuję…

Po chwili milczenia panna Nęcińska powiedziała:

– Jadę zatem z tobą, Franciszko, do Rzymu.

Niech cię Bóg błogosławi

Wieczne Miasto szybko rozbudziło we Franciszce miłość do siebie, ale i miłość do Kościoła. Tu po raz pierwszy zrozumiała, czym jest Kościół i jak bardzo trzeba się za niego modlić. Tu też doświadczyła bardzo wyraźnego prowadzenia Ducha Świętego, spotykając wielu życzliwych ludzi, którzy chętnie pomogli jej, widząc w młodej Polce wielkie i gorliwe serce. Franciszka miała w sobie wiele uroku i wyjątkowy dar, którym szybko zjednywała sobie ludzi. Z pomocą przyszli jej kapłan ze zgromadzenia zmartwychwstańców oraz asystent generalny jezuitów. To on, o. Laurençot, w jej imieniu skierował pisemną prośbę do papieża Piusa IX o zatwierdzenie nowego zgromadzenia.

Odpowiedź nadeszła 1 października 1873 r. Zaraz nazajutrz, w święto Aniołów Stróżów, panna Siedliska wzięła udział w audiencji w Watykanie. Klęcząc i czekając na przybycie Ojca Świętego powtarzała w duchu list, który umiała już na pamięć:

Ojcze Święty, pragnąc odpowiedzieć łasce powołania Bożego, Franciszka Siedliska, córka Adolfa i Cecylii z Morawskich, urodzona w Roszkowej Woli, w Królestwie Polskim 12 listopada 1842 roku, ośmiela się przedstawić pokornie ojcowskiemu sercu Waszej Świątobliwości zamiar przez nią powzięty założenia nowego zgromadzenia, którego głównym zadaniem ma być ofiarowanie modlitw, pracy, cierpień i całej swej istoty za Ojca Świętego i święty Kościół katolicki, starając się naśladować w całym swym zachowaniu życie ukryte i wszystkie cnoty Najświętszej Rodziny z Nazaretu.

Franciszka chciała osobiście podziękować następcy św. Piotra za udzielenie błogosławieństwa, za te słowa, które niosły nadzieję, otuchę, otwierały nowy czas, przynosiły spełnienie wieloletnich marzeń i tęsknot. „*Benedicat vos Deus* – napisał papież. – *Niech cię Bóg błogosławi i oświeca twój umysł, abyś mogła chodzić drogami Pana*".

W czasie audiencji Franciszka miała okazję podejść do Ojca Świętego. Kiedy o. Laurençot przedstawił ją papieżowi, panna Siedliska uklękła przed nim, mówiąc:

– Wasza Świątobliwość, chciałam osobiście podziękować Ojcu Świętemu za łaskawe zezwolenie na rozpoczęcie nowego dzieła, jakim jest zgromadzenie na cześć Najświętszej Rodziny z Nazaretu oraz za udzielone błogosławieństwo.

Papież przyjrzał się z uśmiechem młodej, smukłej postaci, z której uderzały siła i zdecydowanie, uniósł swą drżącą dłoń i uczynił znak krzyża na czole Franciszki, powtarzając jeszcze raz:

– Niech cię Bóg błogosławi.

Franciszka ucałowała pierścień Piotra na dłoni papieża i podniosła się z kolan. Wychodziła z pałacu niezwykle poruszona i radosna. Otrzymawszy błogosławieństwo Ojca Świętego, błogosławieństwo Kościoła, wiedziała już, że Bóg tak chce, że jest to Jego dzieło. Teraz stało przed nią wiele pytań: co? jak?, gdzie?, na które musiała znaleźć odpowiedzi. Tę najważniejszą już znała.

Franciszka była osobą niezwykle zdecydowaną, gdy już raz czegoś zechciała, utwierdziła się w przekonaniu, że taka, a nie inna jest wola Boża dla niej – zmierzała do celu z żelazną konsekwencją. Obdarzona zmysłem praktycznym i wrodzoną roztropnością orientowała się prędko i sprawnie w środkach i sposobach działania. Szybko zdecydowała, że jedynym i najlepszym miejscem do założenia nowego dzieła jest serce Kościoła, czyli Rzym. Należało jednak wracać do kraju, by zakończyć różne sprawy, które na nią czekały, i śpiesznie wziąć się do czekającej na nią pracy, do której rwało się jej serce.

Pierwsze trudy i radości

Był 13 czerwca 1877 r., gdy do drzwi domu na via Merulana zapukały zapowiadane wcześniejszym listem podróżne z Polski. Były wśród nich trzy siostry Lubowidzkie: Wanda, Laura, Felicja i ich dwie kuzynki. Wszystkie chciały przystąpić do Zgromadzenia Świętej Rodziny z Nazaretu. Powitaniom i radości nie było końca, zwłaszcza, że siostry Lubowidzkie miały już kiedyś okazję poznać Franciszkę. Ich kuzynka, Tekla, 15-letnia dziewczyna z warkoczami i śmieszną grzywką, słyszała jedynie o niej od innych osób, więc wpatrywała się w nią swymi dużymi oczami z widocznym zachwytem. Przed nią stała kobieta średniego wzrostu, delikatnej budowy ciała, lekko pochylona. Jej owalną twarz, o cerze bladej i pięknej, otaczały ciemnoblond włosy. Teklunia miała wrażenie, że wejrzenie Franciszki przenika ją do głębi, na wskroś. Wpatrywała się z odwagą w ciemne, pełne słodyczy oczy, które odbijały duszę czystą, pełną dobroci.

– Witam was całym sercem, moje kochane, w naszym małym Nazarecie. Wierzę, siostry moje, że Pan przywiódł was tutaj, bo taka jest Jego wola. On po to przybył na świat, po to cierpiał i umarł na krzyżu, by podbić serca nasze.

– O, tak – odezwała się najstarsza z sióstr, Wanda – chcemy stać się uczestniczkami sprawy Bożej i pod skrzydłami Najświętszej Panny szukać zbawienia duszy.

– O siostry moje, niech ten Pan w was panuje, On, On jeden. Niechaj serce każdej z was będzie Jego przybytkiem, Jego królestwem, a zapewniam was, nic na tym nie stracicie – powiedziała z prostotą i łagodnością Franciszka.

– Czy możemy zatem zostać z tobą – zapytała nieśmiało najmłodsza z sióstr, delikatna Felicja – i włączyć się w życie domu nazaretańskiego?

– Jak widzicie, dom nasz jest skromny i jeszcze wiele trzeba, by uczynić z niego mieszkanie Świętej Rodziny, ale jak wiecie, domek nazaretański niczym się nie odznaczał – nie noszono w nim habitów, nie było krat – nic nadzwyczajnego na zewnątrz nie czyniono. A jednak upodobanie Boże spoczywało na nim, bo umysły, serca i wola jego mieszkańców były zwrócone ku Bogu.

Franciszka jeszcze długo mówiła, a młodziutka Tekla chłonęła każde słowo swej Matki, bo tak już ją w myślach zaczęła nazywać, czując, że jej osoba ma w sobie coś niezwykłego, niecodziennego, a każde słowo niesie słodycz i rodzi w niej zaufanie, niczym córki wobec swej matki. Młode kandydatki zostały w Rzymie, a po kilku miesiącach w noc Bożego Narodzenia odbyły się obłóczyny trzech sióstr Lubowidzkich, które otrzymały welon, habit i nowe imiona trzech archaniołów: s. Michaela, s. Gabriela i s. Rafaela.

Pierwsze miesiące małej wspólnoty obfitowały w radości, gdy dołączały kolejne kandydatki, ale przynosiły też kłopoty, związane z koniecznością częstej zmiany miejsca zamieszkania ze względu na rozrastającą się rodzinę czy pojawiające się choroby, wywołane między innymi upalną rzymską pogodą. Matka Franciszka Siedliska, sama nie znając zupełnie życia zakonnego, wiedziała doskonale, że musi stworzyć reguły, na których mogłoby opierać się życie duchowe powiększającej się wspólnoty. O to się modliła na różnego rodzaju rekolekcjach, które odprawiała w Asyżu, Loreto czy w Paryżu. Dużo rozmawiała z wieloma osobami duchowymi, szukając ich rady i pomocy. W końcu, w pierwszych miesiącach 1880 r., powstał pierwszy zarys reguły powstającego dzieła.

Do Polski?

Młody Nazaret rozrastał się stopniowo, siostry spędzały czas na modlitwach i pracach domowych, słuchając słów Matki Franciszki, ucząc się wzajemnego poszanowania, miłości, jedności, milczenia i ubóstwa. To życie w ukryciu zakłóciły pojawiające się głosy, że dzieło sióstr Polek przede wszystkim powinno rozwijać się w Polsce. Matka Franciszka zaczęła bić się z myślami, gdy do tych wątpliwości dołączyły też głosy sióstr. W czasie jednej z rozmów s. Michaela zapytała Matkę:

– Matuchno, czy nie powinnyśmy rzucić Rzymu i podjąć pracę w Polsce? Nasz kraj tak bardzo potrzebuje teraz duchowego wsparcia.

– Pozwól, Wandeczko, że cię zapytam – ze spokojem zwróciła się do niej Matka – czy sądzisz, że dziś jesteśmy zdolne do pracowania nad innymi? Czy raczej nie wypada nam całą siłą kształcić siebie, pracować nad sobą? Czegóż będziemy uczyć innych, kiedy same jeszcze nie znamy abc życia duchowego?

– Ale w Polsce powstają liczne zgromadzenia, które idą w teren i prowadzą piękną pracę apostolską – próbowała przekonywać s. Michaela. – W kraju jest tyle do zrobienia…

– Pan Jezus przez trzydzieści lat żył ukryty, trzy tylko lata oddawał się posłannictwu, dla którego zstąpił na ziemię, lecz czy te trzydzieści lat było bez pożytku?

– Nie, Matko, ale w kraju …

– Czy sądzisz, że ja nie kocham Polski? – przerwała jej gwałtownie Matka. Siostra Michaela spuściła głowę zawstydzona. Po chwili milczenia Matka Franciszka odezwała się z cicha:

– Lecz Boga kocham przede wszystkim. Droga naszego zgromadzenia wydaje mi się inna od tych, które z zapałem i poświęceniem pracują w kraju: pierwszeństwo modlitwy nad zewnętrznym działaniem. Przez trzydzieści lat Pan Jezus przygotowywał się do trzech lat życia czynnego… Tak powinna postępować nazaretanka…

Ta rozmowa skłoniła Matkę do intensywniejszej modlitwy i … wyjazdu do Krakowa. Tam po spotkaniu z biskupem Dunajewskim podjęła ostateczną decyzję: w Krakowie powstanie pierwsza fundacja Zgromadzenia Świętej Rodziny, zaś dom macierzysty zostaje w Rzymie. Pierwszą przełożoną nowego domu, najpierw przy ul. Kopernika 61, a potem już na stałe przy ul. Warszawskiej 13, została s. Gabriela Lubowidzka.

Drewniany ołtarz

Jesienią 1883 r. Matka Franciszka Siedliska podjęła wraz z siostrami intensywną modlitwę w intencji stałego domu dla rozrastającej się wspólnoty. Zwróciły się z prośbą do kogoś, kto zna się na szukaniu mieszkań – do św. Józefa. I już wkrótce pod koniec listopada Matka podpisała umowę na kupno domu dla Nazaretu na via Machiavelli. Siostry szczęśliwe, że będzie to nareszcie ich własny dom,

zaczęły przygotowania do przeprowadzki. Jedną z ważnych spraw był zakup nowego ołtarza do przyszłej kaplicy. Stary, drewniany został rozebrany i stał jakiś czas jako niepotrzebny sprzęt. W końcu Matce przyszło na myśl, by ofiarować ten ołtarz ojcom zmartwychwstańcom. Napisała więc do o. Lecherta, który troszczył się o zaopatrzenie dla swego zakonu, i wkrótce siostry przesłały stary ołtarz do klasztoru zmartwychwstańców. Kilka dni później dzwonek zabrzmiał u drzwi. Siostra Rafaela poszła otworzyć. Przed wejściem stał dość młody ksiądz.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – grzecznie pozdrowił.

– Na wieki wieków. Amen – odpowiedziała siostra, przyglądając się pytająco szczupłej, niezbyt wysokiej postaci księdza.

– Jestem ojciec Antoni Lechert, zmartwychwstaniec, czy mógłbym rozmawiać z Matką Siedliską?

– Oczywiście, proszę wejść, zaraz powiem Matce – siostra odsunęła się od drzwi, robiąc przejście gościowi. – Proszę wejść do rozmównicy, proszę za mną. – Siostra poszła przodem i otworzyła drzwi do małego pokoju, gdzie przyjmowano gości.

Po chwili do rozmównicy weszła Matka Franciszka. Z zaciekawieniem zwróciła się do gościa. Jej twarz zdobił ciepły uśmiech:

– Witam ojca serdecznie w naszym małym Nazarecie – wyciągnęła do księdza dłoń.

– Przybyłem tu, by osobiście podziękować za dar sióstr. Właśnie potrzebowałem ołtarza do naszej nowej kaplicy i chciałem go kupić, dlatego dar sióstr spadł mi niejako z nieba.

– Bardzo się cieszę, że przyszła mi właśnie myśl, żeby nasz ołtarz ofiarować ojcom. Proszę się rozgościć – wyciągnęła dłoń zapraszająco. Gość został jeszcze dłuższą chwilę, a gdy wyszedł, Matka zwróciła się do siostry Rafaeli:

– Ten ksiądz bardzo mi się spodobał. Wydaje się taki wewnętrzny, głęboki…

Wkrótce Matka zachorowała. Była I Niedziela Adwentu, a ona bardzo chciała się wyspowiadać. Poprosiła więc listownie o. Lecherta, by przyszedł udzielić jej sakramentu pokuty. Po spowiedzi Matka była szczególnie zadowolona. Wiedziała, że wraz z chwilą wejścia do domu tego zakonnika, zacznie się dla nich nowy czas. Była to odpowiedź na długie modlitwy Matki o duchowego przewodnika dla małej trzódki, o spowiednika dla niej i dla wszystkich sióstr. I tak się stało. Wkrótce o. Antoni Lechert pobłogosławił nowy dom i za zgodą swych przełożonych został oficjalnym spowiednikiem i ojcem duchowym Nazaretu. Dlatego odtąd każda I Niedziela Adwentu była obchodzona jako rocznica założenia Nazaretu, gdyż właśnie spotkanie z o. Lechertem potwierdziło ostatecznie istnienie Zgromadzenia Sióstr Najświętszej Rodziny.

Na wieki Twoja!

Zaczął się nowy okres w życiu młodego zgromadzenia. Siostry obficie korzystały z mądrości i doświadczenia swego spowiednika, który z pokorą i miłością udzielał sakramentów świętych, cennych rad i wskazówek. To on też postanowił, by 1 maja 1884 roku odbyła się w rzymskim Nazarecie ważna uroczystość. Tego dnia w kaplicy zgromadziły się wszystkie siostry. Pod koniec Mszy św. Matka Franciszka Siedliska uklękła przy pięknie ustrojonym wiosennymi kwiatami ołtarzu. Ubrana była w czarną suknię, podobną do sutanny kapłańskiej i pelerynę sięgającą pasa. Na głowie miała długi, czarny welon – symbol nowego życia w Chrystusie. Z niezwykłą słodyczą i ufnością podniosła swe oczy ku krzyżowi i głośno, wyraźnie zaczęła mówić:

– O Panie i Zbawicielu mój, oddaję się Tobie bez żadnego podziału – jako Jedynemu Panu, Królowi, Zbawicielowi mojemu. Wezwana łaską i nieskończonym miłosierdziem Twoim biegnę do

Ciebie, mój Zbawicielu, aby być na wieki oblubienicą Twoją – i Ciebie jedynego mieć za Oblubieńca mojego, za jedyny przedmiot miłości mojej. W obecności Trójcy Przenajświętszej, Niepokalanej Dziewicy Maryi, Matki Mojej, świętego Józefa, świętych Apostołów Piotra i Pawła, wszystkich Świętych, jako też i ojca mojego – oddaję Ci się całkowicie, Panie, wolę moją, umysł mój, serce i całą istotę moją, i ślubuję Ci wieczne posłuszeństwo, ubóstwo, czystość i wieczną miłość.

Ojciec Lechert wzruszonym głosem zwrócił się do Matki:

– Ja w imieniu Pana Jezusa oraz powagą Kościoła przyjmuję twoje śluby i je zatwierdzam.

– Bóg mój i wszystko moje – powiedziała Matka, schylając nisko głowę.

– Nadaję ci nowe imię: Maria od Pana Jezusa Dobrego Pasterza – dodał ojciec Lechert. Franciszka z wdzięcznością skłoniła głowę. Bo to przecież Dobry Pasterz wśród zgiełku i błędnych dróg odszukał swą umiłowaną owieczkę i na ramionach przyniósł ją do Nazaretu. Maria Franciszka widzi w nadanym jej imieniu wezwanie, by całym swym życiem zaświadczać o miłości miłosiernej Dobrego Pasterza i jak On pochylać się z miłosierną dobrocią nad każdym cierpiącym i potrzebującym pomocy, by tak jak On szukać tego, co zginęło.

Zdawało się, że w małej kaplicy nazaretańskiej oprócz sióstr jest też wielu innych gości, świętych i aniołów. A najważniejsi z nich, choć niewidoczni gołym okiem, Święta Rodzina, Jezus, Maryja i Józef z wielką radością patrzą na tę małą trzódkę, która chce żyć na wzór małego nazaretańskiego domku i że Oni tu także chcą zamieszkać na stałe. Siostry klęczące obok były przejęte tą doniosłą chwilą, której były świadkami. Tekla, czyli siostra Laureta, ocierała łzy wzruszenia, myśląc o tym, jak bardzo chciałaby też, tak jak Matuchna, złożyć swoje śluby wieczyste. Siostra Gabriela z dumą i wielką miłością patrzyła na Matkę, dziękując Bogu, że przyprowadził ją i jej siostry tu, do tego domu, że pozwala jej mieć udział w tym niezwykle ważnym i doniosłym wydarzeniu.

Kilka miesięcy później najstarsze siostry na polecenie o. Lecherta zebrały się w pokoju spotkań. Obok delikatnej, nieśmiałej s. Rafaeli usiadła wysoka, szczupła, obdarzona spostrzegawczym i przenikliwym umysłem s. Joanna. Naprzeciwko miejsca zajęły s. Kolumba, śmiała, pełna pomysłów i zawsze pomocna oraz ta, którą żartobliwie nazywano „mater misericordia" – pełna miłości do całego świata, wyrozumiała, wspierająca s. Gabriela. Siostry patrzyły na siebie z zaciekawieniem. Każda zastanawiała się, po co zostały tu zebrane, ale żadna nie miała na tyle odwagi, by pierwsza postawić to pytanie. Matka Franciszka była już w pokoju, patrzyła jak zwykle swoim jasnym, ciepłym spojrzeniem na wchodzące siostry, uśmiechając się lekko. Ojciec Lechert zaprosił siostry do krótkiej wspólnej modlitwy. Po chwili stanął przed nimi i zaczął:

– Moje siostry, Matka wasza powiedziała mi, że jest przekonana, że jej stanowisko jako przełożonej dzisiaj nie ma już żadnej podstawy. – Siostry spojrzały po sobie niepewne, czy dobrze rozumieją. Ojciec kontynuował: – Dziś nie mając żadnej kościelnej podstawy, gdyż nie będąc przez siostry wybrana jako przełożona, pragnie złożyć swoją władzę.

– Jak to? – zawołała z lękiem s. Kolumba. – Matka nasza już nie chce być nam matką?

– Spokojnie, moje siostry. Jeśli Matka chce tę rzecz uczynić według zasad i w duchu Kościoła, tak jak jest to w innych zakonach, więc wy, jako siostry, musicie uszanować jej wolę.

– Ale my nie chcemy innej Matki, my mamy tylko jedną Matuchnę – zawołała z przejęciem najmłodsza z sióstr, Rafaela.

– Wy, siostry, możecie wybrać którąkolwiek z sióstr, również Matkę Franciszkę. Jeśli ją wybierzecie – ojciec spojrzał na Matkę. Wydawało się, że jest zatopiona w modlitwie, jakby nieobecna – ona to przyjmie jakby z rąk samego Pana Jezusa i uchylać się od przełożeństwa nie będzie.

Siostry odetchnęły z ulgą. Ojciec odmówił hymn do Ducha Świętego *Veni Creator* i siostry przystąpiły do wyboru przełożonej. Oczywiście wszystkie cztery obrały jednomyślnie swoją ukochaną Matuchnę. O. Lechert w imieniu Kościoła wybór ten zatwierdził i zaintonował:

– *Te Deum laudamus. Ciebie Boga wysławiamy*… – z piersi czterech nazaretanek podniósł się głos radości i uwielbienia. Wiedziały, że uczyniony przed chwilą wybór niesie pokój i pewność, że oto idą w przyszłość wraz ze swoją Matką, która będzie dalej je pouczać. Matka Franciszka wyśpiewywała swój hymn uwielbienia Temu, który potwierdził swoją wolę względem niej, że chce, by wraz z Nim współpracowała nad tym Bożym dziełem, które jej polecił.

– *Tobie Panie zaufałem, nie zawstydzę się na wieki* – brzmiały jeszcze chwilę słowa hymnu. Matka jakby ożyła i z wielką swobodą, i radością zwróciła się do sióstr:

– A teraz, moje najdroższe, proszę was na wszystko, abyście we mnie widziały tylko narzędzie Pana Jezusa. Niechaj nigdy żadne osobiste uczucie do mnie wami nie rządzi, a tylko sam Pan Jezus przeze mnie działający. Stawiajcie Go zawsze, wszędzie i we wszystkim na czele każdej sprawy, aby prawdziwie to maleńkie zgromadzenie było Jego Królestwem.

Zagubiona owieczka

Był mroźny grudniowy dzień 1884 r., gdy do furty krakowskiego klasztoru zapukała zmarznięta, zapłakana kobieta. Jej jeszcze młoda, ale zniszczona twarz, wyrażała determinację i głębokie cierpienie. Powiedziała siostrze furtiance, że chce rozmawiać z matką przełożoną. Kiedy s. Michaela Lubowidzka przybyła do rozmównicy, wydawało jej się, że skądś zna tę osobę. Rozmowa trwała dość długo. Siostra furtianka kilkakrotnie podchodziła do drzwi, nasłuchując, czy wszystko w porządku. Z wnętrza pomieszczenia dochodził tylko szmer rozmowy, a czasem jakby głośniejszy szloch lub płacz. Kiedy po dwóch godzinach drzwi się otworzyły, s. Michaela powiedziała:

– Napiszę zaraz do Rzymu, proszę mi wierzyć, zaraz napiszę. Niech pani przyjdzie po odpowiedź za jakie dwa, trzy tygodnie.

– Dobrze, dziękuję matce[7] – kobieta chciała pocałować siostrę przełożoną w rękę, ale ta wyrwała dłoń.

– Niech Bóg panią prowadzi, moje dziecko. Do widzenia – i zamknęła drzwi wejściowe. – No, to mamy kłopot – m. Michaela powiedziała jakby do siebie i szybko odeszła spod furty.

Jeszcze tego samego dnia wysłała list do Matki Franciszki, opisując szczegółowo historię młodej, ale nieszczęśliwej i zagubionej kobiety. Teraz już wiedziała, dlaczego ta twarz wydała jej się znajoma. Nieraz widywała tę kobietę czy na krakowskich Plantach, czy w okolicach kolei, czekającą na klientów. Teraz niewiasta ta twierdzi, że ma już dość takiego życia i że Bóg ją wzywa do klasztoru. „Jakże to tak? – mówiła do siebie matka przełożona – przyjąć taką do domu, nawet jeśli tylko na próbę? Przecież to zgorszenie! Jak inni się dowiedzą, obrzucą błotem nie tylko ją, ale i nas. Niektóre pobożne damy nawet nie spojrzą w jej stronę, odwrócą się też i od nas. Co robić? Co robić?".

List z Rzymu nadszedł szybko, a w nim jasna wyraźna odpowiedź: Przyjąć na próbę i przysłać do Rzymu! Matka Franciszka pisała:

Dusza, którą po takich przejściach Pan Jezus wyciąga z przepaści, może Go bardzo gorąco umiłować. Za mąż ona nigdy wyjść nie może; nie po to ją Pan Bóg nawrócił i wyrwał z piekła! Więc trzeba jej pomóc i rękę podać. Zdaje mi się, że na tym, iż ją przyjmiemy, nic się nie straci, bo zawsze biednej, zbłąkanej

[7] Do 1969 r. tytułem „matka" określano wszystkie siostry przełożone domu zakonnego. Dziś określa się tak tylko przełożoną generalną. W tej książce zastosowałam jednak te tytuły zgodnie z dostępnymi źródłami.

owieczce, którą Pan Jezus szukał, gonił, nareszcie znalazł i do niebieskiej przyprowadził owczarni, poda się rękę. Toć to nie od jednego razu przechodzi się z ciemności do światłości, ze śmierci do życia.

Kiedy kilka miesięcy później m. Michaela spotkała się osobiście z Matką Franciszką, dużo rozmawiały o nowo nawróconej kobiecie z Krakowa.

– Bardzo garnie się do Pana, moja Michaelo, pracuje nad sobą – opowiadała Matka Maria. – Widoczna jest nad nią łaska Boża.

– Ale czy ona wytrwa? Czy to nie jest tylko chwilowe? – wyrażała swe wątpliwości Michaela.

– Nic nie przesądzam, ale dopóki ona nie odstąpi od Pana Jezusa, pragnę jej pomagać i ufam, że miłość Boża zwycięży w jej duszy – westchnęła.

– Bo Matuchna jest taka dobra i ufna, wierzy zawsze w każdą duszę – uśmiechnęła się.

– Ach, moje dziecko, patrz na Pana Jezusa, jak On goni za owieczką zabłąkaną, jak ją nosi na swych ramionach. Widzisz… to jest prawdziwa miłość. Trzeba nam tak jak On kochać nie tych tylko, którzy są zdrowi, silni, utwierdzeni w dobrym, ale słabych, nędznych, biednych, ułomnych. To jest właśnie miłość!

Za ocean

O 7:00 wieczorem 18 czerwca 1885 r. okręt *Gottardo* podniósł kotwicę i opuścił port w Neapolu, a wkrótce wybrzeża Włoch. Płynęła na nim grupka jedenastu nazaretanek wraz z Matką Marią Franciszką i o. Antonim Lechertem. Siostry udawały się na misję do Ameryki na zaproszenie o. Barzyńskiego, zmartwychwstańca, przełożonego Misji Polskiej w Chicago, który wzywał je do prowadzenia szkół dla biednych dzieci polskich emigrantów. Matka długo wahała się, czy tak młode zgromadzenie, które na początku 1885 r. liczyło 22 siostry, jest już gotowe do podejmowania misji. Propozycja była niezwykle nęcąca: iść na pomoc rodakom, ułatwić im życie religijne, szerzyć w sercach opuszczonych Królestwo Bożej Miłości. Franciszka Siedliska modliła się wiele, rozważając przed Bogiem otrzymaną propozycję. Wzmocniona zachętą kardynała Lucido Parrocchiego, wikariusza generalnego, przyjaciela zgromadzenia, „Tak. Jechać!", udała się ostatecznie wraz z siostrami na audiencję do papieża Leona XIII, który udzielił im swego błogosławieństwa. I oto siostry wyruszyły za ocean.

30 czerwca w nocy wybuchła gwałtowna burza. Okręt przypominał łupinkę, którą gwałtowne fale rzucały z boku na bok. Woda przelewała się przez statek i wydawało się, że zaraz zatonie, zapadnie się w bezdenną morską głębinę. Nikt nie spał. Siostry czuwały zalęknione, przerażone grożącym im niebezpieczeństwem. Zbite w gromadkę modliły się, niektóre myślały o zbliżającej się śmierci, przygotowując się na nią. Jedynie Matka była spokojna i pogodna. Co chwilę podchodziła do sióstr, przytulała je, zachęcała, by nie tracić ufności.

– Moje kochane dzieci, nie bójcie się! Jeśli Pan nas powołał do pracy dla Jego chwały aż za ocean, potrafi nas też zaprowadzić bezpiecznie tam, dokąd powołuje.

Burza minęła i 4 lipca siostry dopłynęły do Nowego Jorku, a stamtąd udały się koleją do Chicago. Pierwsze swe kroki skierowały do kościoła. Była to wielka izba, w której znajdowały się trzy drewniane ołtarze, kilka ławek, tabernakulum z prostego drzewa, a nad nim mała lampka wskazująca, że tam mieszka Król. Matce ścisnęło się serce na widok tego ubóstwa. Przyzwyczajona do niezwykle bogatych wystrojów kościołów rzymskich patrzyła na to biedne mieszkanie Pana Jezusa. „To jest dla nas nauka – myślała, patrząc na ten zaniedbany, ubogi kościół – nauka, jak mamy wyrzec się wszystkiego i żyć z całym poświęceniem dla Boskiego Mistrza".

Pracy było dużo. Siostry zajęły się sierotami i na różne sposoby rozpoczęły swoją misję, przyjmowane wszędzie z wielkim entuzjazmem. Szybko powstały dwa kolejne domy w samym Chicago.

Matka zawsze ufała Opatrzności Bożej. Zakładając następny dom w Ameryce, powiedziała do s. Rafaeli, przełożonej misji amerykańskiej:

– Będzie trzeba na pewno wiele pieniędzy, ale my ich nie mamy ani wiele, ani mało, musimy liczyć we wszystkim na Opatrzność Bożą.

Ziarno zasiane w amerykańskiej ziemi wydało z czasem ogromny plon. Kiedy po czterech miesiącach Matka Franciszka wracała do Rzymu, zostawiała za sobą trzy nowe domy, nowicjat, szkołę. Z upływem lat powstawały również szpitale, przedszkola, domy dla starców.

Baranki św. Agnieszki

– Miała zaledwie 12 lub 13 lat, kiedy ją zamordowano, bo nie chciała wyjść za mąż za syna prefekta miasta – opowiadała Matka Franciszka siostrom, zgromadzonym w refektarzu w grudniowe popołudnie. – Powiedziała, że jest już poślubiona Chrystusowi i nie może mieć innego męża. Kazano ją zatem spalić na stosie.

– Tak, ale płomienie ognia nie wyrządziły jej żadnej krzywdy, dlatego ścięto ją mieczem – dopowiedziała s. Marta. – Znam żywot św. Agnieszki, czytałam o niej jeszcze w Polsce. To było zdaje się w IV w., kiedy trwały prześladowania chrześcijan.

– A ja pamiętam taki rysunek w jakiejś książce – odezwała się jedna z nowicjuszek – na którym św. Agnieszka trzymała na rękach owieczkę.

– I właśnie chodzi o te owieczki – uśmiechnęła się Matka Maria. – Otóż matka generalna sióstr z Piazza Dante[8] opowiedziała mi dziś całą historię. Ten zwyczaj przygotowywania baranków do błogosławieństwa przez papieża w dzień św. Agnieszki miało ich zgromadzenie już od dawna. Ale jak siostry wiedzą ani ich matka, ani młodsze siostry, z powodu choroby nie mogą się tym dalej zajmować. Dlatego zgodziłam się, że odtąd my, nazaretanki, będziemy kontynuować tę tradycję.

W kilka tygodni później 20 stycznia do domu zgromadzenia na via Machiavelli przywieziono dwie młode owieczki. Kiedy tylko zamknęły się drzwi za posłańcem od ojców trapistów, którzy hodowali baranki i przesyłali je w darze, przy furcie zrobił się ruch. Zbiegły się wszystkie siostry, by zobaczyć zapowiadane zwierzątka. Zachwytom nie było końca.

– Spokojnie, siostry, spokojnie – mówiła Matka Franciszka, przeciskając się przez zebrane siostry. – Dajcie i mnie zobaczyć te baranki. Rzeczywiście są śliczne i chyba trochę wystraszone – dodała, dotykając jednego z nich. – Siostro Tereso, zabierzmy je do pralni. Musimy je odpowiednio teraz przygotować. Zaczniemy od …

– Chyba od wykąpania – przerwała s. Teresa – niezbyt ładnie pachną, żeby nie powiedzieć nawet gorzej… – Siostry roześmiały się, bo rzeczywiście każda z nich poczuła nieprzyjemny zapach.

Matka osobiście wraz z s. Teresą zajęła się dwiema owieczkami. Najpierw w dużej balii umyły je dokładnie, zmywając z nich wszelki brud. Od razu małe baranki, które podczas kąpieli wydawały wiele pisków i chlapały nóżkami co niemiara, pojaśniały. Potem trzeba było je wytrzeć, specjalnie zakupioną już wcześniej, miękką flanelą.

– Teraz musimy was uczesać – mówiła Matka, trzymając na ręce jedną z owieczek. – Dobrze, że matka przełożona dała nam wszystkie przybory, których siostry dotąd używały.

[8] W domu na Piazza Dante (w pobliżu ul. Machiavelli) mieszkały przez jakiś czas siostry ze zgromadzenia zakonnego, które do ok. 1885 r. zajmowały się przygotowywaniem baranków św. Agnieszki, zwyczaju, który później przejęły siostry nazaretanki. Te zakonnice, a zwłaszcza ich chorą matkę generalną, wspierała na różne sposoby bł. Franciszka Siedliska.

– A potem je chyba nakarmimy tą specjalną butelką – odezwała się s. Teresa. – Ale ubierać je będziemy jutro rano, prawda?

– Tak, prześpią noc w specjalnej zagródce, a z samego rana je wyszukujemy na świąteczną procesję.

Wczesnym rankiem następnego dnia siostry umieściły dwa baranki w specjalnych wiklinowych koszach, udekorowanych białymi i czerwonymi kwiatami. Jedna z owieczek była przystrojona w białą szatkę z literami S.A.V.[9], drugą zaś ubrano w szatkę czerwoną z literami S.A.M.[10]. Oba baranki miały też na łebkach biały i czerwony wianuszek z kwiatów. Około 9.00 pojawiło się dwóch młodych kleryków, którzy zabrali baranki na Mszę św. do kościoła św. Agnieszki.

Wieczorem Matka Maria opowiadała siostrom szczegóły ceremonii, której była świadkiem.

– Kościół św. Agnieszki wypełniony był wiernymi, wśród nich było dużo dzieci. Podczas Ofiarowania w uroczystej procesji, w której brały udział pięknie ubrane dziewczynki i chłopcy, baranki zostały wprowadzone, poświęcone i okadzone.

– Wtedy oczywiście – dodała śmiejąc się s. Teresa, która wraz z Matką uczestniczyła w tej małej uroczystości – baranki zaczęły beczeć, co wywołało ogromne poruszenie wszystkich, zwłaszcza dzieci, które były bardzo przejęte losem małych owieczek.

– O tak, nasze baranki beczały głośno, tylko nie wiem czy z radości, czy ze smutku – uśmiechnęła się Matka Franciszka. – Potem owieczki zostały zabrane na Watykan, gdzie miały zostać pobłogosławione przez ojca św. Leona XIII. A za kilka miesięcy, kiedy siostry benedyktynki już je odkarmią, około Wielkanocy zostaną ostrzyżone. Z ich wełny, odpowiednio przygotowanej, zostaną potem uszyte paliusze.

– Paliusze? Co to takiego, Matuchno? – zapytała nieśmiało jedna z sióstr.

– Paliusz to taka jakby stuła, taki pas, który zakłada ojciec święty podczas Mszy św., ale też biskupi, kardynałowie. Kiedy kapłan zostaje mianowany biskupem, otrzymuje paliusz, co oznacza łączność z papieżem, jako następcą św. Piotra. W ten sposób podkreśla się też, jaka odpowiedzialność spoczywa na wszystkich biskupach. Bo oni, tak jak Pan Jezus Dobry Pasterz, muszą troszczyć się o każdą owieczkę, zwłaszcza tę zagubioną, którą czasem trzeba wziąć na ramiona i przyprowadzić do stada, do Kościoła… – Matka urwała. Zadumała się nad historią swego życia, ale też tylu innych zagubionych, znanych jej osób, które Dobry Pasterz odnalazł na drodze ich życia. Dopiero po chwili kontynuowała:

– Dlatego też już od wieków Kościół przywiązywał wagę do obrzędu błogosławienia baranków, z wełny których robi się paliusze. A teraz – Franciszka spojrzała po kolei na wszystkie siostry – my, nazaretanki, będziemy uczestniczyć w tym fragmencie świętej tradycji. To będzie – zakończyła z dumą – nasz dar jedności z papieżem, z jego dostojnikami, z Kościołem.

Może przeczuwała Franciszka od Pana Jezusa Dobrego Pasterza, że jej córki przez kolejne dziesiątki lat aż do chwili obecnej będą kontynuować zwyczaj przygotowywania baranków św. Agnieszki, włączając się w tę tradycję Kościoła.

Konstytucje

23 listopada 1887 r.

Moja Rafaelo!

[9] S.A.V. (łac.) - Święta Agnieszka Dziewica.
[10] S.A.M. (łac.) - Święta Agnieszka Męczennica.

W zeszłym tygodniu wysłałam ci, Dziecko moje drogie, świętą Regułę naszą. Pan Jezus w miłosierdziu swoim po tylu latach pragnienia, oczekiwania, dał nam święte Prawo swoje, według którego żyć i postępować mamy. Dziecko moje drogie, to wszystko o. Lechert w swej dobroci napisał, porozumiewając się ze mną. Wyrywał mi z duszy to, co tam od dawna złożone było, o czym dla nas marzyłam, czego dla nas pragnęłam – Matka Franciszka siedziała przy biurku w swoim pokoju, z wdzięcznością wpatrując się w małą książeczkę, oprawioną w czarną okładkę. – *Przekazując Wam konstytucje w trzech językach – po polsku, włosku i francusku – proszę Pana, byście przyjęły treści tych rozdziałów jako swoje i byście według nich postępowały. By Królestwo miłości Jezusa Chrystusa szerzyło się bardziej na ziemi i obejmowało swoim prawem miłości cały świat*.

Matka Siedliska spojrzała przez okno w głęboką noc, która jakby daleko na horyzoncie rozjaśniała się. Wschodził świt, zaczynał się nowy dzień. Czuła się właśnie tak, jakby dla niej i dla jej córek zaczynał się nowy czas. Przed jej oczyma przesunęły się wydarzenia ostatnich lat, w których niekiedy miała wrażenie, jakby kroczyła po omacku. Myślą przeniosła się do Loreto, gdzie przybywała wielokrotnie.

Tam, w *Santa Casa*[11], w Świętym Domku, który według tradycji był tym prawdziwym domkiem nazaretańskim, wylewała przed Bogiem swoje serce, swoje wątpliwości, obawy, ciężar odpowiedzialności, który ją przytłaczał. Tam stawiała wiele pytań o przyszłość i dzień codzienny młodziutkiego zgromadzenia, tam modliła się za swoje siostry, swoje duchowe córki, tam też błagała Pana jeszcze niedawno o kapłana, ojca, narzędzie Boże, który byłby spowiednikiem i kierownikiem duchowym, wyznaczonym przez Kościół. A potem w sierpniu 1884 r. przybyła z radością i wdzięcznością w sercu widząc, że Pan odpowiedział na jej wołanie, dając o. Lecherta, Bożego kapłana, jak sama mówiła – prawdziwe narzędzie Serca Jezusowego. Wiedziała dobrze, jak wiele jest spraw, które wymagają mądrego kierownictwa, zgodnego z Bożą wolą, aby cała ta sprawa była oparta na Kościele.

Tam, w Loreto długo modliła się dla siebie i swoich współsióstr o cnoty prawdziwie nazaretańskie. Błagała o miłość ku Jezusowi, doskonałe posłuszeństwo i pokorę. Modliła się również o mądrość do ostatecznego ułożenia konstytucji zakonnych, czyli reguł, na których będzie opierać się życie codzienne młodego Nazaretu. I oto po kilku latach ma je przed sobą. Napisane przez o. Lecherta, opisują obowiązki nazaretanek wobec Kościoła świętego.

Matka otworzyła książeczkę na rozdziale o apostolstwie zgromadzenia i zaczęła czytać półgłosem:

„Nazaretanka będzie szerzyć miłość Bożą wśród otoczenia, dbając przede wszystkim o to, aby w świeckich rodzinach chrześcijańskich panował Duch Boży i Królestwo miłości Pana Jezusa, podobnie jak w Najświętszej Rodzinie w Nazarecie". Matka zatrzymała się nad tym zdaniem. Rozmyślała o tych wszystkich rodzinach, które znała, o swojej rodzinie, w której brakowało Boga, o samotnych matkach, o skłóconych i rozbitych rodzinach, o niepokoju i płaczu dzieci.

– To odrodzenie rodziny musi być jednym z najważniejszych obowiązków naszego zgromadzenia – myślała. – Przecież Pan Jezus, który jako Bóg wszechmocny nikogo do dokonania dzieła swego nie potrzebował, wybrał jednak z ludzi Maryję i Józefa i ich powołał. My także musimy zebrać wokół siebie osoby świeckie, które tworzyć będą Bractwo Najświętszej Rodziny z Nazaretu. To przez nich będzie dokonywać się przemiana rodziny na wzór Świętej Rodziny. – Znów pochyliła się nad listem do s. Rafaeli.

[11] Santa Casa (wł.) – Święty Dom.

– *Przyjmijże tę łaskę Pana z weselem i wdzięcznością i staraj się sama w życie ją wprowadzać i innym siostrom ci powierzonym dopomóc, ażeby żyły według tej świętej Reguły naszej*.

Długo jeszcze tej nocy Matka Siedliska modliła się, by jej córki całym swym sercem i życiem zachowywały Konstytucje Sióstr Najświętszej Rodziny, by przez nie Bóg wchodził w życie milionów rodzin na całym świecie. Nie przeczuwała nawet, jak bardzo idea służby nazaretanek rodzinom realizować się będzie kilkadziesiąt lat później przez Stowarzyszenie Najświętszej Rodziny.

Codzienność z Najświętszą Rodziną

Lata mijały. Zgromadzenie rozrastało się nieustannie, do bram klasztoru pukały wciąż nowe dziewczęta, które chciały włączyć się w życie Zgromadzenia Najświętszej Rodziny. Powstawały nowe domy: we Lwowie, Wadowicach, Paryżu, Londynie czy kolejne w Ameryce. Franciszce stale przybywało też obowiązków. Jednym z nich było prowadzenie nowicjatu, czyli troska o duchowe formowanie najmłodszych sióstr, kandydatek do zgromadzenia. Codzienne liczne zajęcia wiązały się z nowicjatem, z troską o wszystkie siostry mieszkające wówczas w domu przy ul. Machiavelli. Pojawiły się również obowiązki dotyczące gości, którzy często przybywali do kolejnego domku nabytego przez Matkę, a oddanego pod opiekę św. Józefa. Byli to biskupi, prałaci, księża czy inni pielgrzymi, którzy chętnie korzystali z polskiej gościnności, mieszkając tam podczas swego pobytu w Wiecznym Mieście. Każdy dzień przynosił wiele spraw, które trzeba było rozstrzygnąć i podjąć decyzję. Z siostrami należało porozmawiać, wysłuchać, poradzić. Matka zawsze na wszystko znajdowała czas, dla wszystkich miała życzliwe słowo, serdeczny uśmiech, włączając się równie często w obowiązki domowe.

Pewnego razu, podczas kolejnego napływu gości, należało wykonać niezbędne prace w otaczającym dom ogródku. Wszystkie siostry zajęte były innymi czynnościami, więc do ogródka poszła Franciszka. Po godzinie zastała ją przy tej robocie jedna z sióstr i zawołała:

– Cóż Matuchna tu robi? Proszę to zostawić, ja zaraz sama to dokończę.

– Ale kochane dziecko, szczęśliwą się czułam sama przy tej robocie. W obecności Pana Jezusa i Najświętszej Panny.

– Ależ to taka ciężka praca, kopanie w ogródku – siostra szybko wzięła łopatę stojącą przy ścianie i zaczęła spulchniać ziemię. Przez dłuższą chwilę obie pracowały w ciszy, kończąc kopanie rozpoczętego kawałka. Na koniec Matka wyprostowała zgięty kręgosłup, opierając się jedną ręką o trzymane narzędzie.

– Wyobrażałam sobie, że Oni są przy mnie, z Nimi rozmawiałam. Myślałam, że tak właśnie wyglądało życie w nazaretańskim domku.

Siostra spojrzała na Matkę i po chwili dodała:

– Przy Matuchnie wszystko łatwe, nawet to, co trudne.

Oprócz tych codziennych obowiązków czekały jeszcze na nią listy. Ze wszystkich domów, z Polski, z Ameryki, napływały listy do Matki z prośbą o radę, o pomoc, o wsparcie. Często późno w nocy siadała, by odpisać na listy od sióstr przełożonych.

– *Ukochane moje* – pisała siedząc przy swoim biurku – *jako zakonnice jesteście obowiązane do dążenia do doskonałości. Jeżeli kto święty, niech będzie jeszcze świętszy*.

Franciszka podniosła głowę, wpatrując się w okno, za którym widać było ciemną, głęboką noc. Tak bardzo chciała przekazać im nawet na odległość te najważniejsze prawdy, wychowywać je, kształtować ich ducha.

– *Niech każda z was pracuje ciągle nad tym, aby więcej Pana Jezusa miłować, więcej się dla Niego poświęcać, umierać dla siebie… bo prawdziwa miłość na tym polega*. – Znów podniosła głowę,

modląc się w duchu, co jeszcze ma napisać do siostry przełożonej domu we Lwowie, by była ona dla swych sióstr jak matka. Po chwili pióro znów zaskrzypiało na papierze. – *Co do Sióstr, proszę cię, bądź z nimi cierpliwą, dobrą, wyrozumiałą. Wymagaj przestrzegania naszych reguł zakonnych, ale czyń to bardzo spokojnie, miłośnie, aby one czuły, że czynisz to dla dobra, z miłości ku ich duszom*.

Słowa pełne miłości i życzliwych mądrych rad długo jeszcze przelewały się na papier. Jak zwykle zastał ją już świt i po krótkim odpoczynku Franciszka zerwała się na dźwięk dzwonka, by biec jako pierwsza do kaplicy na wspólną poranną modlitwę. Nie wyobrażała sobie, że mogłaby ją opuścić, mimo zmęczenia, niewyspania czy częstego niedomagania na skutek choroby.

Teraz dajcie im jeść!

Do drzwi domu na via Machiavelli często pukali różni ludzie z prośbą o pomoc. Każdego piątku zjawiało się wielu ubogich, którym rozdawano o określonej porze chleb. Było jeszcze wcześnie rano, gdy rozległ się dzwonek u furty klasztornej. Otworzywszy drzwi, siostra furtianka zobaczyła na progu dwóch starych, brudnych mężczyzn w łachmanach, z których jeden wyciągnął wychudzoną rękę po chleb.

– Za wcześnie jeszcze! – powiedziała zniecierpliwiona siostra. – Przyjdźcie za dwie godziny. O dziesiątej! – i szybko chciała zamknąć za sobą drzwi.

Obok furty przechodziła właśnie Matka Siedliska. Widząc, jak siostra odprawia przybyszów, szybko podeszła do drzwi i otworzyła je na nowo szeroko.

– Siostro – zwróciła się do furtianki – im teraz się chce jeść, a ty każesz im przyjść później. Idź zaraz i przynieś im chleb. – Następnie pozdrowiła obu mężczyzn uprzejmym głosem, zwracając się do nich z serdecznym uśmiechem. Po chwili rozmowy starcy odeszli wyraźnie zadowoleni, że ta święta Matuchna wysłuchała ich narzekania i dała im chleb, choć było jeszcze wcześnie. Gdy drzwi zamknęły się, siostra furtianka chciała coś tłumaczyć, ale Matka przerwała jej:

– Moje dziecko, nie żałuj ubogim chleba, nie bój się nic ubóstwa, bo co ubogim dasz, nie zginie. Przyjdzie jaki rozruch, rewolucja, to ubodzy nas obronią za to, żeśmy im chleba nie żałowały. Pamiętaj dziecko: nie żałować chleba ubogim.

Serce Franciszki Siedliskiej było niezwykle otwarte na wszystkich potrzebujących. Kiedy pojawiała się na ulicy, serdecznie pozdrawiały ją przekupki, sklepikarz na rogu czy inni ludzie prości i ubodzy. Choć wychowana w dostatku, nie znająca co to bieda, potrafiła dostrzec nędzę i całym sercem pragnęła jej zaradzić. Gdy ktoś z sąsiadów chorował, szybko śpieszyła na pomoc, odwiedzała chorych, nosząc im paczki z żywnością. Wielokrotnie w ten sposób okazywała swą pomoc włoskim siostrom z innego zakonu, w którym chorowała poważnie matka przełożona. Franciszka wiedząc o tym, że siostry cierpią niedostatek, osobiście nosiła przełożonej paczki z rosołem, biszkoptami, lekarstwami. Szczególną troską otaczała chore współsiostry, często sama im usługiwała, czuwając nieraz przy łóżku chorej całą noc. Powtarzała: „Oddałabym ostatniego centa, żeby ratować chorą siostrę" – nawet gdy tych centów brakowało w klasztornej kasie. Widziała w chorych cierpiącego Jezusa i starała się po macierzyńsku zaradzić wszelkim potrzebom chorych, ubogich i cierpiących.

Kiedyś wychodząc z domu, Matka Franciszka spostrzegła na ulicy pewną kobietę, ubraną w starą, pocerowaną już w wielu miejscach suknię. W ręku trzymała jakieś pisma, a zobaczywszy zakonnicę, starała się je ukryć pod fałdami sukni. Matce wydało się to trochę dziwne. Gdy po kilku godzinach wracała z powrotem, kobieta stała nadal tuż pod domem sióstr. Siąpił drobny deszcz, a wiatr zawiewał mocniej od wschodu. Widać było, że kobieta jest zmarznięta i wyczerpana. Matka podeszła do niej, pytając:

– Co dobrego sprzedaje pani?

Kobieta zawstydziła się, chciała schować pisma, ale Matka wyciągnęła już rękę. To, co zobaczyła, zdumiało ją niezwykle. Było to pismo przedstawiające bardzo nieprzyzwoite zdjęcia kobiet i mężczyzn.

– Dlaczego pani sprzedaje takie pisma, przecież to sieje grzech.

– Matko kochana, jestem biedna, mąż zginął w wypadku, mam dwoje małych dzieci. Muszę je sprzedawać, żeby zarobić na życie – kobieta rozpłakała się. – Mnie samej wstyd, że muszę takie świństwa sprzedawać.

– Ile kosztuje takie pismo? – zapytała energicznie Matka.

– Dwa liry.

– Niech mi pani da je wszystkie. Ile mam zapłacić? – Matka wyciągnęła z kieszeni brązowy portfelik, odliczyła odpowiednią kwotę i wręczyła ją zdziwionej kobiecie. – Niech pani odda te pieniądze właścicielowi. I proszę przyjść tu do nas, do klasztoru, jutro. Postaram się znaleźć dla pani jakąś przyzwoitą pracę.

Zapłakana kobieta przypadła do rąk Matki, dziękując jej serdecznie. W kolejnych dniach Matka znalazła kobiecie pracę.

Miłujcie nieprzyjaciół waszych

Pierwsze niepokojące sygnały pojawiły się w styczniu 1887 r. Były to krótkie, gwałtowne dzwonki do drzwi, zwłaszcza wtedy, gdy siostry przebywały w kaplicy. Gdy drzwi otwierano, okazywało się, że nikogo nie ma za progiem. Kolejne zdarzenia następowały szybko po sobie. Ktoś próbował się włamać do drzwi od strony ogrodu. Gdy siostra Laurencja przebywała w ogrodzie, jakiś mężczyzna wołał za nią obraźliwe słowa i rzucił zdechłą mysz. Innym razem na siostrę Martę, która wyszła na zakupy, napadło dwóch mężczyzn i dotkliwie ją pobiło, tak że straciła przytomność. Matka zebrała wszystkie siostry i uspakajając je, powiedziała:

– W naszym domu wisi krzyż. A to jest znak, któremu, jak powiedziano, sprzeciwiać się będą. Bo to jest znak prawdy i zwycięstwa. I Kościół odniesie zwycięstwo nad wszystkimi nieprzyjaciółmi.

Przez kilka tygodni incydenty stale się powtarzały, w oknach wybijano szyby, rzucano kamieniami w siostry, a nawet strzelano w okna z wiatrówek, tak że nazaretanki bały się wychodzić na zewnątrz. Matka Franciszka kazała okuć drzwi, wstawić zasuwy, mocne kraty i zakazała wychodzenia nawet po zakupy. Wszystkie sprawunki załatwiała sama. Siostry ogarnął strach. Nie sypiały po nocach, czuwając po dwie, by nikt znienacka nie zakradł się do domu. Ataki nasiliły się od Niedzieli Palmowej. Wezwana policja nic nie ustaliła, a wkrótce pojawiły się plotki, a nawet artykuł w jednym z dzienników rzymskich, że w domu nazaretanek straszy, a duchy wybijają szyby. W Wielką Sobotę rano pod domem zjawił się wrogi tłum ludzi, wykrzykując: „Patrzcie, jak się zakonnice biją, jak wybijają sobie okna…”. Gromada próbowała wedrzeć się do środka, waliła w drzwi, podrzucano jakieś śmieci, zepsute jarzyny. Wtedy zjawił się z dwoma urzędnikami inspektor policji z dzielnicy watykańskiej, dobry znajomy kardynała Parocchiego. I choć nie miał prawa zająć się tą sprawą, gdyż to nie jego dzielnica… ataki ustały. Tego wieczoru siostry mogły pełną piersią śpiewać radosne *Alleluja*.

Minęło kilka tygodni w spokoju. Pewnego popołudnia do klasztoru przybyła młoda kobieta, ubrana w ciemną, lekko zniszczoną suknię. Prosiła, by mogła choć przez chwilę porozmawiać z Matką Siedliską. Gdy po chwili Matka przyszła, kobieta rzuciła się jej do stóp, płacząc i prosząc o wybaczenie.

– Proszę się uspokoić, proszę usiąść – powiedziała Matka, zdziwiona i zażenowana sytuacją. – O co chodzi, dlaczego pani płacze?

– To wszystko przez niego, przez mojego męża, to dlatego Paolo zachorował – kobieta łkając, zaczęła opowiadać swą historię. Była żoną mężczyzny mieszkającego w sąsiedztwie, który chciał nabyć od sióstr ogród. Jako że siostry nie chciały go sprzedać, postanowił, że zmusi je do tego, uprzykrzając im życie. – Dogadał się ze swoimi kolegami i to oni wybijali szyby, napadali na siostry, rzucali kamieniami. A teraz mój mały Paolo zachorował i na pewno umrze. Błagam siostrę, niech siostra nam przebaczy, mnie i mojemu mężowi, jego głupotę – kobieta płakała nadal. – To kara Boska za to, co on robił. Niech nam siostra przebaczy...

Kobieta zerwała się z krzesła i chciała upaść do nóg Franciszki. Ta wstała i uściskała matkę chorego dziecka.

– Przebaczam, całym sercem przebaczam. Niech pani już nie płacze. Zapewniam panią, że wraz ze wszystkimi siostrami będziemy modlić się o wyzdrowienie tego niewinnego dziecka. Niech pani wraca do domu – Matka Siedliska trzymając płaczącą nadal kobietę, odprowadziła ją do drzwi. – Dziecko na pewno wyzdrowieje. Pan jest miłosierny.

Jeszcze tego samego dnia Matka udała się do domu swych sąsiadów, wprawiając tym samym w zawstydzenie i zdumienie zwłaszcza ojca, który nie spodziewał się nie tylko przebaczenia, ale i takiej wspaniałomyślności ze strony prześladowanych tak okrutnie przez ponad dwa miesiące sióstr. Podała dziecku lekarstwo, uczyniła znak krzyża na czole i jeszcze raz zapewniła o modlitwie. Wkrótce chłopczyk wyzdrowiał.

O niebie i chlebie codziennym

W dzielnicy Eskwilin, w której znajdował się dom sióstr nazaretanek przy via Machiavelli, wielokrotnie widziano lekko pochyloną średniego wzrostu kobietę, ubraną w długą czarną suknię w welonie na głowie. Niekiedy towarzyszyła jej jeszcze jedna lub nawet dwie podobnie ubrane niewiasty. Czasami niosły jakieś pakunki, często świeże kwiaty. Zawsze szły pogodne, z uśmiechem odpowiadały na pozdrowienia, które kierowali do nich mieszkańcy dzielnicy. Pepino ze swoją biedną matką i młodszą siostrą zamieszkał na Eskwilinie dopiero niedawno i zaledwie kilka razy widział tę kobietę, która przyciągała jego uwagę dziwną słodyczą i ciepłem, jakie biło z jej postaci. Tego dnia ośmioletni chłopiec siedział na schodach prowadzących do starej, odrapanej kamienicy. Nie miał co robić, nie znał jeszcze wielu kolegów, a właściwie to rozmawiał ledwie raz czy dwa z jednym wysokim chłopcem z sąsiedniego podwórka. Ten jednak pracował – jak dumnie powiedział – u jednego handlarza warzyw i biegał z posyłkami. Nie miał więc czasu ani na zabawę, ani na zajmowanie się innymi rzeczami. Pepino siedział zatem smutny i znudzony, rzucał od czasu do czasu małymi kamykami przed siebie, sprawdzając, który poleci najdalej.

Po chwili usłyszał wesołe odgłosy rozmowy. Szła znów ta sama kobieta, a wokół niej biegło kilkoro dzieci. Dwoje trzymało ją za rękę, czując się szczególnie wyróżnionymi tym zaszczytem. Wysoki, chudy dryblas, w przykrótkich, połatanych spodniach i za małej koszulinie biegł przed całą gromadką, pokrzykując coś radośnie i co jakiś czas podskakując. Mała lekko kulejąca dziewczynka biegła za całą grupką, próbując ją dogonić. W końcu zatrzymała się i zaczęła płakać. Kobieta odwróciła się, usłyszawszy płacz i szybko cofnęła się, wzięła na ręce małą, coś do niej mówiąc, przytuliła ją i pocałowała w umorusany policzek. Gdy cała gromadka dotarła do skrzyżowania, kobieta ucałowała jeszcze raz małą, postawiła ją na ziemi, wyjęła coś z kieszeni i rozdała małe karteczki wszystkim dzieciom. Jeszcze chwilę trwała rozmowa, której, niestety, Pepino nie słyszał. Widać było tylko, że i ona, i dzieci są bardzo zadowolone z tego spotkania. Po chwili kobieta poszła dalej, a maluchy wróciły tą samą drogą, którą przyszły.

Minęły dwie godziny. Pepino nadal siedział na schodach. Teraz jednak miał w ręce patyk, którym próbował wydłubać jeden z kamieni w ulicznym bruku. Tak przejęty swoim zadaniem nie zauważył nawet, że stanęła przed nim ta sama kobieta, którą widział tego ranka. W jednej ręce miała torbę wypełnioną jakimiś zakupami, w drugiej bukiet pięknych świeżych kwiatów.

– Co robisz, moje dziecko? – zwróciła się do niego nieznajoma, ciepło uśmiechając się i stawiając torbę obok nogi.

– Och! – zawołał przestraszony Pepino – nie, nic. – I szybko próbował schować rękę z kijem za plecy. Chciał ukryć nie tylko kij, ale i brudną, podrapaną rękę.

– Jak ci na imię, chłopcze?

– Pepino.

– A ja jestem matka Franciszka. Jestem nazaretanką, zakonnicą.

– Zakonnicą? A kto to taki?

– Zakonnica to osoba, która całym swoim życiem oddaje się Panu Jezusowi, Jego chce kochać i Jemu chce służyć. A ty znasz Pana Jezusa? Modlisz się do Niego?

– Nie, ale mój ojciec modlił się bardzo często. Jak jeszcze żył – chłopiec wyraźnie posmutniał – uczył mnie nawet takiej pięknej modlitwy. Ale ja już nie pamiętam… Było tam tylko coś o niebie i o chlebie codziennym.

– A matka? – zapytała Matka Franciszka, siadając obok chłopca na schodku. – Matka nie uczy cię modlitwy?

– Mama powiedziała, że to brednie. Pamiętam, jak mówiła do ojca, kiedy wyciągnął taką małą książeczkę, że traci tylko czas, że lepiej wziąłby się do jakiejś roboty. A kiedy tata umarł, to ja wszystko zapomniałem – Pepino spuścił głowę.

– Moje ty biedactwo – Matka przytuliła chłopca do siebie. – A chciałbyś nauczyć się tej pięknej modlitwy o niebie i chlebie codziennym?

Chłopiec spojrzał na Matkę z niedowierzaniem.

– Mógłbyś przychodzić do nas, do naszego domu, by razem z innymi dziećmi uczyć się katechizmu. Właśnie zaczynamy już jutro. Przyjdź o piątej po południu.

Następnego dnia Pepino czekał przed domem sióstr już dwie godziny wcześniej, nie chciał się spóźnić. Stopniowo dołączały inne dzieci, również te, które widział wczorajszego dnia, jak biegły z Matką Franciszką. Kiedy zegar na wieży kościoła Santa Maria Maggiore wybił piątą, najstarszy chłopiec, dryblas w przykrótkich spodniach zadzwonił do drzwi. Otworzyła je na oścież inna, nieznana Pepino siostra i zaprosiła wszystkich stojących na ulicy. Pepino wahał się chwilę. Spodziewał się, że drzwi otworzy Matka, już chciał zawrócić, gdy usłyszał ten sam słodki głos:

– Pepino, zapraszamy – w drzwiach stała Matka Franciszka.

Mijały kolejne dni. Pepino wraz z innymi dziećmi przychodził codziennie, by uczyć się o Panu Jezusie. Z zapartym tchem słuchał, jak Matka albo inna siostra opowiadała o miłości Boga Ojca, który posłał swojego Syna, by powiedział innym swym synom i córkom, jak bardzo ich kocha. Niektóre dzieci słuchały chętnie i grzecznie, ale były też takie, które przeszkadzały innym, szukając tylko okazji do psot. Z czasem jednak nawet te najbardziej krzykliwe, które nie umiały usiedzieć na miejscu, uspokoiły się. W maju dzieci zaczęły brać udział w nabożeństwach do Maryi. Z wypiekami na twarzy Pepino powtarzał *Módl się za nami*, wpatrując się w piękne oblicze Matki Bożej z obrazu, znajdującego się w ołtarzu niewielkiej kaplicy sióstr.

Matka Franciszka, spoglądając na małego Pepino i inne dzieci z zapałem powtarzające modlitwę *Litanii Loretańskiej*, prosiła Jezusa, by choć kilkoro z nich odpowiedziało na Jego miłość i dochowało Mu wierności.

– O, gdybyśmy mogły mieć zakład dla tej biedy, gdybyśmy mogły wychowywać te dzieci dla chwały Boga – mówiła wieczorem do sióstr.

Wiornąc stądka[12]!

Kolejne misje Nazaretu rozwijały się pomyślnie, zarówno w Europie, jak i w Stanach Zjednoczonych. Franciszka Siedliska pisała listy, udzielała rad nie tylko duchowych, ale też dotyczących organizacji domów, finansów, pracy duszpasterskiej. Kiedy trzeba było, jechała osobiście, by pomagać, wspierać, wyjaśniać. Po kilku latach istnienia misji w Ameryce, w 1889 r. Matka wyruszyła w kolejną podróż za ocean. Od razu rzuciła się w wir pracy, rozmów z siostrami, ale i z proboszczami, którzy nie zawsze rozumieli, na czym polega życie zakonne młodego zgromadzenia. Na tym polu pojawiały się różne trudności i napięcia, jak choćby w Chicago w parafii św. Jozafata.

Było popołudnie 13 września, gdy do biura wtargnęły wzburzone kobiety:

– Wiornąc stądka! Précz, sostry, zarôzkù précz[13]! – krzyczały po kaszubsku. – Siostry muszą się wynosić!

Siostra Alberta obecna w biurze, nie rozumiejąc, o co chodzi tym kobietom, pobiegła szybko po Matkę, ale i ona nie była w stanie zrozumieć ani ich języka, ani ich oburzenia. Po chwili do przybyłych dołączyli mężczyźni i dzieci, tłum gęstniał pod klasztorem. Rozlegały się coraz głośniej i natarczywiej krzyki, piski, gwizdy. Niektórzy mężczyźni odgrażając się, trzymali w rękach grube kije.

– Zamknąć natychmiast klauzurę – zawołała Matka Franciszka, nie mogąc porozumieć się z rozkrzyczanymi kobietami. Siostra Alberta, zapłakana, pobiegła szukać klucza, ale nie mogła go znaleźć, bo dotąd nie było potrzeby zamykania części klauzurowej.

Tymczasem napastniczki dalej odgrażały się w języku kaszubskim, niektóre próbowały nawet wyciągać jakieś meble z biura.

– Trzeba wezwać policję – zadecydowała Matka. – Same nie damy rady.

– Na nic wam się zda policja – zawołała wysoka, tęga kobieta, która pomiędzy słowa kaszubskie wplatała trochę polskich. – Dziś wieczorem będzie rozlew krwi!

Matka Franciszka wysłała pracownicę pralni, by zadzwoniła na policję, ale w sąsiednich domach mieszkali sami Kaszubi i nikt nie chciał użyczyć telefonu w takiej sprawie. Cała społeczność zwróciła się przeciwko siostrom nazaretankom. W międzyczasie posłano też postulantkę w świeckim ubraniu z informacją o zdarzeniach i z prośbą o pomoc do proboszcza sąsiedniej parafii, ks. Barzyńskiego.

Znalazły się klucze i siostry skupiły się na piętrze w kaplicy, modląc się o ratunek dla wszystkich i opamiętanie dla parafian. Cały parter domu został opanowany przez zagniewane niewiasty, wśród których pojawili się też pijani mężczyźni. Niestety, spokoju nie było. Wydawało się, że tłum jest zdecydowany zrealizować swoje zamiary. Ktoś zaczął dzwonić dzwonkiem, którym siostry wzywały się na codzienne zajęcia, ktoś inny uderzał w dzwon szkolny, jeszcze inni tłukli pięściami w drzwi.

– Och, zaraz tu wejdą! – zawołała jedna z sióstr, kiedy skończyły się ostatnie słowa kolejnej dziesiątki różańca.

Matka Siedliska wstała z klęcznika. Wiedziała, że musi wyjść do tych ludzi!

– Siostro Tereso i siostro Alberto, chodźmy razem. Musimy się rozmówić!

[12] Wiornąc stądka! (kasz) - Uciekać stąd!

[13] Précz, sostry, zarôzkù précz! (kasz) - Precz, siostry, natychmiast precz!

Rozległy się protesty sióstr, ale Franciszka była nieubłagana. Kiedy zeszły na dół, zobaczyły młodego, wysokiego kapłana, który swoim ciałem zabraniał dostępu do drzwi sióstr. Matka odetchnęła, wiedziała, że przynajmniej się porozumieją.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! – zwróciła się do kapłana mimo dzikiego wrzasku, który wywołało pojawienie się sióstr. – Czy może nam ksiądz wytłumaczyć, o co chodzi? Co siostry zrobiły, że ci ludzi na nas napadli?

– Précz, sostry, zarôzkù! – znów rozległy się groźne wołania.

– Ci ludzie, wskutek nieporozumienia, oskarżają siostry – odezwał się mocnym głosem kapłan – o to, że przyczyniły się do zmiany dotychczasowego proboszcza. Tłumaczę im, że to była już wcześniejsza decyzja ks. arcybiskupa i siostry nie miały na nią żadnego wpływu. Ludzie, rozejdźcie się do domu! – zwrócił się do obecnych.

Na podwórku pojawiła się policja, ludzie, choć niechętnie, zaczęli się rozchodzić, wrzaski przycichły. Siostry pozamykały dokładnie cały dom, obserwując sytuację przez zamknięte okna. Wydawało się, że spokój został już przywrócony.

– Matko, beczka prochu! Dom chcą wysadzić w powietrze! – zawołała nagle s. Teresa, zobaczywszy przez okno dużego, silnego mężczyznę toczącego pod klasztor sporą beczkę. Okazało się jednak, że był to handlarz owoców, Niemiec, u którego rano siostry zamówiły jabłka. Usłyszawszy, co się dzieje, pomógł nazaretankom. Wystarał się o dwóch dodatkowych policjantów, którzy całą noc strzegli klasztoru.

Po kilku tygodniach, kiedy już sytuacja zupełnie się uspokoiła, a mieszkańcy parafii, Kaszubi, przekonali się całkowicie i do sióstr nazaretanek, i do nowego proboszcza, Matka Franciszka powiedziała do sióstr wspominających tamte zdarzenia:

– Widać, że Pan Jezus w miłosierdziu swoim chce nas przeprowadzać drogą krzyża, kiedy takie rzeczy dopuszcza, najpierw w 1887 r. w Rzymie, a teraz tutaj, w Chicago.

Koszyk ze śniadaniem

– Départ[14]! Odjazd! – wołał konduktor na peronie paryskiej kolei. Franciszka Siedliska razem z s. Lauretą Lubowidzką jechały pociągiem drugiej klasy z Paryża do Londynu. Matka siedziała przy oknie, ciesząc się, jak małe dziecko, tą kolejną podróżą, zwłaszcza w towarzystwie ulubionej Laurety, zwanej najczęściej przez siostry Loretką. Jadąc do Londynu z misją, jak zwykle po drodze wstąpiły do Loreto. Franciszka często wyruszając z Rzymu, tak planowała podróż, by wstąpić do *Santa Casa* i polecać Świętej Rodzinie wszelkie plany oraz tych, z którymi miała się spotkać. Lubiła jeździć pociągami, a jeździła dużo, bo sprawy rozwijającego się prężnie zgromadzenia wymagały jej częstej obecności w nazaretańskich domach. Teraz jechały z s. Lauretą na zaproszenie abpa Westminsteru, by rozpatrzeć możliwość otwarcia nowej placówki, tym razem na ziemi brytyjskiej. Pociąg ruszył, a po chwili do przedziału zajrzał podróżny, który w ostatniej chwili zdążył na pociąg. Był to wysoki, barczysty mężczyzna w tyrolskim kapeluszu, prawdopodobnie Niemiec. Szukał miejsca dla siebie, otworzył drzwi, ale zobaczywszy w przedziale zakonnice, skrzywił się tylko, szybko zamykając je z powrotem.

– No cóż, widać niemiłe towarzystwo dla tego jegomościa – odezwała się z uśmiechem s. Laureta.

Obie kobiety z przyjemnością obserwowały zmieniający się krajobraz za oknem, rozmawiając ze sobą w języku polskim. Po chwili drzwi otworzyły się znowu i wszedł ten sam mężczyzna. Widać było,

[14] Départ (fr.) - Odjazd!

że jest niezadowolony, pewnie nie znalazł wolnego miejsca i był zmuszony wrócić do przedziału, w którym jechały siostry. Usiadł naburmuszony w kącie, ukradkiem tylko rzucając niechętne spojrzenie to na jedną, to na drugą zakonnicę. Kiedy wkrótce pojawił się konduktor, Niemiec zażądał dla siebie innego miejsca. Niestety, wszystkie były już zajęte. Gdy okazało się, że w pociągu nie ma też wagonu restauracyjnego, mężczyzna wybuchnął:

– Co to za pociąg, w dodatku międzynarodowy, nawet nie można nic zjeść? Co to za porządki! I do tego nie ma wolnych miejsc…

– Ależ, proszę pana, przecież siedzi pan na wolnym miejscu – zdziwił się konduktor.

– Ale te… te… te zakonnice! Co za towarzystwo! Och, co to za miejsce! – plątał się, spoglądając w kierunku sióstr, które udawały, że nie zwracają uwagi na toczącą się rozmowę. – Kiedy tylko zwolni się jakieś miejsce, proszę mnie powiadomić.

– Oczywiście, proszę pana – zapewnił po niemiecku konduktor i wyszedł.

Mężczyzna aż posapywał ze złości. Widać było, że źle się czuje i jest bardzo niezadowolony z takiego obrotu sprawy.

Po kilkunastu minutach Matka Franciszka zwróciła się do s. Laurety, by podała jej koszyk z jedzeniem, w którym siostry przygotowały dla nich śniadanie.

– Ale ja bym też coś zjadła – cicho zaprotestowała s. Laureta, domyślając się, do czego zmierza Matka.

– Trzeba się trochę umartwić, kochana Loretko – powiedziała półgłosem. Wyjęła śniadanie z koszyka i po niemiecku zwróciła się z uśmiechem do mężczyzny:

– Proszę się poczęstować. Z pewnością jest pan głodny.

Niemiec drgnął, słysząc słowa w swoim języku. Jego twarz zaczerwieniła się ze wstydu, gdy uświadomił sobie, że kobiety zrozumiały jego rozmowę z konduktorem.

– Nie, dziękuję bardzo – odpowiedział zażenowany.

Siostra Laureta wstała i wyszła na korytarz, nie mogąc się powstrzymać ze śmiechu. „A dobrze mu tak, jaki pewny siebie! Jego gburowatość spotkała się z miłością i życzliwością Matuchny”.

– Ależ proszę, naprawdę – przekonywała Franciszka – my nie jesteśmy głodne. Śmiało, proszę jeść. Smacznego!

Niemiec po chwili wahania wyciągnął rękę i z apetytem zaczął jeść skromne, ale smaczne śniadanie.

– Ale pyszne, dziękuję, pani…eee… siostrze… A dokąd to pa… siostry jadą – plątał się, kończąc jedzenie, wyraźnie poruszony i zawstydzony.

Siostra Laureta stała długo na korytarzu, zaglądając tylko od czasu do czasu do przedziału. Za każdym razem widziała Matkę i Niemca rozmawiających o czymś z ożywieniem. Po dwóch godzinach jazdy wysiadający z pociągu mężczyzna żegnał się serdecznie z Matką Franciszką, trzymając w ręku małą figurkę Matki Bożej.

– Proszę mi wierzyć, zawsze tak będę czynił! – zapewniał. – Jeszcze raz bardzo dziękuję!

Laureta patrzyła zdumiona na jego ożywioną, teraz sympatyczną twarz. „Czyżby był to ten sam mężczyzna, który tu wsiadł dwie godziny temu? – zastanawiała się. – Jak Matuchna to robi, że ludzie, którzy z nią rozmawiają, odchodzą przemienieni, inni…”.

– Co takiego obiecał ten człowiek? – zapytała Matkę, siadając obok niej w przedziale, gdy pociąg ruszył znów w drogę.

– Obiecał codziennie mówić *Ave Maria*[15]– uśmiechnęła się. – Już teraz Matka Boża zadba o jego duszę. – I pogrążyła się w cichej modlitwie, spoglądając ciekawie na mijany krajobraz.

Gość nad gośćmi

– O, tak, przesuńmy trochę na prawo… teraz dobrze. A tamte lilie niech siostra postawi tu pod ołtarzem – mówiła Matka Franciszka do s. Cecylii, z którą razem dekorowały kaplicę na przyjęcie niezwykłego gościa. Tego dnia rankiem Matka Maria pobiegła jak zwykle na swoje ulubione Campo di Fiori[16], by kupić najpiękniejsze kwiaty dla Najpiękniejszej. Wybierała dziś tylko białe. Kupiła więc białe kalie, białe goździki i te proste, ale jakże urocze margerytki. Znajoma kwiaciarka, signora Lucia, jak zwykle dołożyła swej ulubionej klientce jeszcze sporo innych, białe lilie i wyniosłe, dostojne mieczyki.

– Niech będzie pięknie, Mateczko! – mówiła. – Te lilie to ode mnie dla Najświętszej Panienki. Maryja lubi białe kwiaty, bo one są tak samo czyste jak Ona. A jak Mateczka przyozdobi ołtarz i figurę Matki Bożej to będzie pięknie. Quanto bello[17]!

Rzeczywiście było pięknie. Kaplica tonęła w bieli.

– Jakże się cieszę, że Najświętsza Panna z Loreto zamieszka tu z nami i będzie już na zawsze – Matka stanęła przed ołtarzem i z radością wpatrywała się w tę małą, ale drogą jej sercu kapliczkę w domu Nazaretu. – Choć cząstka tego Świętego Domku będzie odtąd w naszym domku.

– Teraz postawimy Matkę Bożą na ołtarzu, ale przecież stale nie może tam być. Co zrobimy, Matuchno? – zapytała s. Cecylia.

– Już myślałam o tym, tam w Loreto, kiedy ksiądz poświęcił kupioną figurę Matki Bożej – zamyśliła się na chwilę Franciszka. – Zostałam z nią w *Santa Casa* kilka godzin. Chciałam, by poświęcona w tym miejscu, spędziła w nim trochę czasu. Dziękowałam Jezusowi, Maryi i św. Józefowi za wszystko. I wiesz, Cecylio, tak sobie myślałam, że domek nazaretański niczym się nie odznaczał. Nie było w nim nic nadzwyczajnego, te trzy Osoby nic niezwykłego na zewnątrz nie czyniły, pracowały, modliły się, kochały, cierpiały, radowały się…

– To tak jak my, Matuchno – przerwała szeptem s. Cecylia.

– Tak, masz rację, takie jest życie Nazaretu… przeplatanie cierpień i pociech, smutku i radości, pracy i modlitwy... – urwała. – A jednak … spojrzenie Boże na nim spoczywało. Wiesz dlaczego? – Matka wpatrywała się w wiszący nad ołtarzem duży obraz Świętej Rodziny. Zamilkła i dopiero po dłuższej chwili odezwała się znów, spojrzawszy na s. Cecylię. – Dlatego, że Ich umysły, serca, uczucia, wola były zwrócone całkowicie ku Bogu. I Oni, sam Pan Jezus, Maryja i św. Józef, każdy z Nich spełniał najdoskonalej to, do czego go Bóg powołał.

W kaplicy zapanowała cisza. Słychać było tylko niekiedy cichutki gwar ulicy dochodzący z otwartych okien, bo była przecież prawie połowa lipca. Matka Maria, Matuchna, jak mówiły do niej siostry i s. Cecylia uklękły przed ołtarzem i po chwili Franciszka podjęła trzykrotne wezwanie:

– Chwała Ojcu i Synowi, i Duchowi Świętemu, jak była na początku, teraz i zawsze, i na wieki, wieków. Amen.

Kiedy wstały z klęczek, Matka uśmiechnęła się do Cecylii i powiedziała:

– Tak, jak my, masz rację, Cecylio, takie ma być życie naszego małego Nazaretu. I wszystkie nasze małe sprawy, nasze obowiązki, sprzątanie, układanie kwiatów, mycie podłóg, choć wydają się

[15] Ave Maria (łac.) – Zdrowaś Maryjo.
[16] Campo di Fiori – dosłownie Pole Kwiatów, znany plac targowy w Rzymie.
[17] Quanto bello! (wł.) – Jak pięknie!

małe i na pozór nic nie znaczące, stają się wielkie, jeżeli tylko czynione są z Panem Jezusem, na Jego chwałę i według Jego woli. Chodźmy dalej do pracy, kochana Cecylio.

– Aha, zapomniałam – dodała jeszcze już spod drzwi. – Zrobi się za obrazem Świętej Rodziny małą niszę i tam postawimy statuę. Obraz będziemy wyjmować tylko w święta Najświętszej Panny i wtedy figura będzie się odsłaniać.

Dwie godziny później podczas Mszy św. statua Matki Bożej Loretańskiej została uroczyście wniesiona i postawiona na ołtarzu. Siostry pięknymi głosami śpiewały *Regina Coeli*[18], a Matka Franciszka, jak zdarzało się to w niezwykle wyjątkowych sytuacjach, sama grała na fisharmonii. Na zakończenie siostry odmówiły *Litanię Loretańską.*

Długo jeszcze po zakończonej uroczystości Franciszka Siedliska klęczała w kaplicy. Dziękowała Jezusowi za małe, ale stale rozrastające się dzieło Nazaretu. Wspominała z wdzięcznością wszystkie chwile pobytu w Loreto, w Świętym Domu, gdzie otrzymała wiele łask i wiele światła.

– Tam, Panie Jezu, w tamtym miejscu dałeś mi zrozumieć – modliła się – czym jest ten Święty Domeczek dla nas i czym my być powinnyśmy. Otrzymałyśmy to święte miłosierdzie, że jesteśmy dziećmi Najświętszej Rodziny i że te trzy najświętsze Osoby na ziemi są nam dane jako wzory dla naśladowania. O, jak cudownie dobry jesteś, Panie Jezu!

Wyszukiwać zbłąkane owieczki

– Panie, żniwo wielkie, a robotników mało – szeptała Matka Franciszka, modląc się w kaplicy rzymskiej. Przed jej oczyma stawały obrazy widziane nie tak dawno w Londynie i słowa lady Herbert, damy, która będąc wcześniej gościem w klasztorze, prosiła o pomoc. „Wśród polskich emigrantów w Anglii – mówiła – szerzy się nędza materialna i duchowa. Musicie przyjechać! Pomóc!”.

Matka Maria właśnie pożegnała się z ks. Vaughan, arcybiskupem Westminsteru, który opowiadał jej o potrzebach. Jego słowa brzmiały w jej uszach bardzo wyraźnie:

– Polaków i Litwinów jest w Londynie co najmniej trzy tysiące, a może i więcej. Pracy jest ogromnie dużo. A ja mogę dać siostrom tylko pole do tej pracy i błogosławieństwo na żniwo. Nie mam ani domu, ani pieniędzy, ani szkoły. Wszystko trzeba zrobić od początku. Wszystko trzeba zdobyć…

Nie brak pieniędzy przytłaczał Matkę, ale świadomość wyboru miejsc, gdyż zaproszeń do pracy było wiele. Przychodziły wołania o pomoc i przybycie sióstr do Paryża, Petersburga, na Sachalin, do Westfalii czy Rumunii. Wszędzie mówiono o wielkich potrzebach, o wielkiej biedzie i konieczności głoszenia Ewangelii, pracy wśród dzieci, chorych, biednych. A sióstr było stale za mało. Choć do drzwi domów w Polsce, w Ameryce czy tu w Rzymie wciąż pukały nowe kandydatki, ale i tak było ich za mało. Poza tym Matka wiedziała, że one potrzebują czasu, nowicjatu, nauczenia się życia w klasztorze, by potem móc iść służyć w nowych placówkach.

W końcu, w połowie września 1895 r., powstał dom w Londynie. Pracy było wiele, a warunki ogromnie trudne. Siostry zamieszkały w wynajętym domu, w którym za zgodą ks. arcybiskupa urządzono kaplicę publiczną. W niej odtąd odbywały się nabożeństwa, na które przybywali głównie Polacy i Litwini z Misji Polskiej. Dodatkowym problemem był brak stałego kapłana, więc zdarzało się, że nabożeństwa były prowadzone przez Matkę Franciszkę. Siostry rozważały, co powinny robić, jak rozpocząć swoją posługę w tym wielkim mieście.

Podczas jednej z takich rozmów w piątkowe popołudnie ktoś zapukał do drzwi domu. Po chwili s. Gertruda przyprowadziła niewysokiego, chudego mężczyznę.

[18] Regina Coeli (łac.) – Królowo Niebios, pieśń na cześć Najświętszej Maryi Panny.

– Pochwalony, siostry, pochwalony! Ja z taką wielką prośbą – zaczął i wyciągnął wielką kraciastą, z lekka przybrudzoną, chusteczkę do nosa, wycierając nią nos i zapłakane oczy.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – odpowiedziała Matka Maria, wstając i zbliżając się do mężczyzny. – Z jaką prośbą? Co się stało? Jak możemy panu pomóc?

– Ja jestem Bieleński. Ot, mieszkam tu już kilka lat. Ja jestem spod Kielc. I chodzi o to, że mój brat… – mężczyzna znów sięgnął po chustkę. Widać było, że wzruszenie nie pozwala mu mówić. – Mój brat jest chory. On umiera. Dla niego lekarze już nie widzą ratunku. A on by chciał do księdza. Ale gdzie tu księdza? Siostry, pomóżcie, błagam!

– Siostro Tereso, idziemy – szybko zdecydowała Franciszka Siedliska. – Niech pan prowadzi, idziemy z panem.

Siostry spędziły tam kilka godzin, sprowadziły księdza, który choremu udzielił rozgrzeszenia i ostatniego namaszczenia. Pomagały w opiece nad umierającym, modliły się, pocieszały zapłakaną rodzinę. Kiedy późnym wieczorem wróciły do domu, Matka powiedziała:

– Pan Jezus pokazał nam dziś, co mamy czynić. Nie ludzie nas, ale my mamy wyszukiwać zbłąkane owieczki i za łaską Bożą przyprowadzać je do owczarni. To nasza misja tutaj – spojrzała na siedzące przy stole siostry – pocieszać strapionych, nawiedzać chorych, dawać Pana Jezusa. Ci ludzie do księdza pójdą przez siostry. To my, siostry, mamy ich przyciągać, nauczać… pociągać do Boga.

Odtąd siostry wychodziły z samego rana, zaglądając do nędznych mieszkań w piwnicach lub na poddaszach, niosąc pomoc chorym, umierającym, sierotom. Zapraszano je nawet do chorych w szpitalach, niezależnie od ich wyznania czy narodowości.

Pewnego dnia siostry trafiły do mieszkania bardzo chorego Litwina, który pragnął przyjąć sakrament spowiedzi. Problemem był język, ponieważ mężczyzna nie znał ani angielskiego, ani polskiego. Patrząc na stan jego zdrowia, Matka wysłała s. Teresę po księdza angielskiego i zaproponowała najlepsze w tej sytuacji rozwiązanie. Siostra Tekla, która była Litwinką, zapytała chorego, czy gotów jest wyspowiadać się przez tłumaczy.

– Ja będę pana słuchać po litewsku, następnie powiem pana grzechy siostrze Teresie po polsku – wyjaśniała powoli – a ona przetłumaczy je księdzu na język angielski. Czy zgadza się pan na takie utrudnienia?

– Tak – szeptał chory – chcę bardzo się wyspowiadać. Ja muszę się pojednać z Bogiem. Ja muszę!

Kiedy zjawił się ksiądz, Matka wyszła ze skromnego mieszkania na korytarz, oddając Bogu tę przedziwną spowiedź. Mówiła do siebie: „Najważniejsze, że pojedna się z Panem Jezusem. Przyjmij go, Panie, do siebie”.

Serce za serce

Serdeczność i miłość, z jaką siostry mieszkające w Londynie pomagały chorym, potrzebującym, sprawiała, że Polacy i Litwini chętniej zwracali się ku życiu sakramentalnemu, wcześniej zupełnie zaniedbanemu. Nowa misja coraz bardziej się ożywiła. Z czasem i tu powstał prawdziwy dom, a potem szkoła i internat.

Kiedy zbliżały się święta Bożego Narodzenia, Matka Franciszka wraz z siostrami postanowiły urządzić w kaplicy żłóbek. Jako że misja borykała się nieustannie z problemami finansowymi, Matka na własną rękę usiłowała zaradzić wszelkim potrzebom. Dlatego z powodu oszczędności sama malowała figury do żłóbka: Maryję, Józefa, pasterzy czy królów. Najwięcej czasu zajęło jej przygotowanie figurki Dzieciątka Jezus na ołtarz. W tym czasie z Polski płynęły paczki z opłatkami, gdyż polscy emigranci,

wedle zwyczaju znanego tylko w kraju nad Wisłą, pragnęli przełamać się białym, cieniutkim chlebem w tym szczególnym czasie.

Kiedy w noc Bożego Narodzenia ludzie zaczęli się gromadzić w kaplicy na pasterkę, rozlegały się tylko szepty pełne zdumienia:

– Jak pięknie! Jak ślicznie! Jeszcze nigdy nie widziałam tak pięknego żłóbka. I jaki ten Pan Jezus śliczny, jak żywy.

Zima tego roku była wyjątkowo mroźna. Wokół domu sióstr w parafii św. Jerzego w Londynie gromadziło się coraz więcej dzieci i dorosłych. Matka Franciszka patrząc na nich, cieszyła się bardzo, że tylu ludzi garnie się do Pana Jezusa. Największą troską napawały ją nadal trudności materialne. Mówiła pewnego dnia do s. Bernardy:

– Teraz zimno, a te dzieci nie mają ubrań ani trzewików, ani pończoszek. Biedaki maleńkie, takie dobre, grzeczne, miłe dzieci.

– Ksiądz kardynał obiecał pomóc. Obiecał, że przyśle pieniądze, by można było im kupić buty – powiedziała z nadzieją s. Bernarda.

– Jak nic nie dadzą, to myślę, że wypadnie ostatnie pieniądze, co mam, dać, ale patrzeć na cierpienia tego biedactwa nie można. – I po chwili zdecydowanie dodała: – Pan Jezus to odda, ponieważ to dla Niego, na pamiątkę Jego Boskiego Dzieciństwa.

Wkrótce Matka Franciszka wróciła do Rzymu. A tam znów czekały wydatki, należało oddać długi. Nie minęło kilka dni, gdy na via Machiavelli pojawił się pewien ksiądz, któremu kiedyś wcześniej Matka Siedliska pomogła również finansowo, i oznajmił, że za kilka dni odbierze ona czek na 2000 franków:

– Serce za serce, Matko Przełożona. Otrzymałem od Matki dowody dobroci, pragnę je oddać.

Tego dnia wieczorem Matka z wdzięcznością opowiadała siostrom o tym, co się zdarzyło, kończąc:

– Opatrzność Boża najmiłosierniejsza o wszystkim myśli.

Trzeba zaufać Opatrzności Bożej!

Franciszka czytała po raz kolejny list od m. Laurety Lubowidzkiej, która była w tym czasie odpowiedzialna za domy nazaretanek w Galicji[19], to jest w Krakowie i Lwowie. Loretka pisała właśnie o spotkaniu z biskupem krakowskim ks. Janem Puzyną, który prosił o założenie w Wadowicach przytułku dla sierot.

Gdy powiedziałam ks. biskupowi – Matka znów pochyliła się nad listem – *że nie mamy na to środków, że budujemy teraz szkołę we Lwowie, Jego Eminencja powiedział mi: „Kiedy Pan Jezus rozsyłał swych uczniów, apostołowie nie pytali Go o pieniądze. Trzeba zaufać Opatrzności Bożej”*.

– Trzeba zaufać Opatrzności Bożej – powtórzyła półgłosem Franciszka. – Pan Jezus nie opuści! – I natychmiast zaczęła kreślić proste słowa na białej kartce papieru:

Kochana Lauretko!

Nie lękaj się, ufaj Panu, On Ci dopomoże. Zacznij ten domeczek w Wadowicach pod słodkim wezwaniem „Opatrzności Bożej”, a ta pełna miłości Opatrzność Boża, która nas ciągle prowadzi i nami kieruje, szczęśliwie prowadzić będzie to dzieło swoje. Ale na to potrzeba, aby Siostry żyły prawdziwie jako zakonnice, jako dzieci Najświętszej Rodziny, aby porzuciły te wszystkie dziecińśtwa, szukania siebie, a dla Pana Jezusa się poświęciły, czyniąc ze siebie ofiarę i szukając Go we wszystkim.

[19] Określenie terenów zaboru austriackiego.

Zachęcona tym listem Matuchny m. Laureta w lutym 1896 r. przyjechała do Wadowic z trzema nazaretankami, które szybko przystąpiły do działania. W kolejnych listach Franciszka pisała o pomyśle utworzenia w mieście internatu oraz organizowania kursów zawodowych dla dziewcząt z okolicy. Już w kilka miesięcy później siostry otworzyły ochronkę, w której opiekowały się grupą 50 dzieci, a także prowadziły zajęcia z języka francuskiego oraz muzyki dla dziewcząt z miejscowej szkoły żeńskiej. Wkrótce też zaczęły się zajęcia w pracowni haftów i krawiectwa. Pod koniec tego roku kilka sióstr zaczęło również pracę w szpitalu miejskim.

Kiedy dwa lata później Franciszka Siedliska przyjechała na wizytację do Wadowic z radością i wdzięcznością patrzyła na kolejne dzieła Nazaretu. Następnego dnia m. Paula zaprowadziła Franciszkę do pracowni haftów, gdzie pomimo że był lipiec, odbywał się letni kurs dla dziewcząt, które chciały nauczyć się szycia i haftowania. Młode panienki z okolicznych wiosek z radością powitały wyjątkowego gościa, kłaniając się grzecznie. Jedna z nich, pewna siebie, niebieskooka Helenka, gdy skończyły się oficjalne powitania, podbiegła do Matki i całując ją w rękę, zawołała:

– Matko kochana, jak my dziękujemy Panu Bogu za nasze kochane siostry, że je nam tu przysłał do Wadowic.

– A dlaczegoż tak dziękujecie, kochane dziecko? – trochę zaskoczona tym osobistym wyznaniem, zagadnęła dziewczynę, przytrzymując ją za rękę.

– A bo bez nich, to by było strasznie źle, prawda, dziewczyny? – zawołała z przekonaniem. Ośmielone wychowanki zaczęły cisnąć się do Matki.

– No czekajcie, niech sobie usiądę, dobrze, matko Paulo? Możemy chwilę tu zostać, niech opowiedzą mi trochę te panienki o sobie. Jak masz na imię? – zwróciła się do dziewczyny.

– Jestem Helenka.

– A ja Zosia – odezwała się niska, pulchniutka blondynka.

– Ja Marysia, Matko… A ja Tereska… – dziewczęta skupiły się już pewnie wokół Matki siedzącej na podsuniętym krześle.

– A ja jestem Matka Franciszka – patrzyła na ich pogodne, nieśmiałe twarze. – A teraz powiedz, Helenko, skąd jesteś?

– Ja, Matko, to jestem aż ze Stryszowa. U nas w domu bieda aż piszczy. Jestem najstarsza z dziewczyn, jest nas w domu dziesięcioro. Ojciec pracuje na małym kawałku pola, bracia starsi mu pomagają, ale chleba z tego niewiele. Mama chodzi latem i jesienią na zarobek… jak się uda. A dzieci jeść krzyczą, najgorzej te małe. Byle czym głodnego brzucha nie oszukasz… O, przepraszam! – dziewczyna zawstydziła się swoją wylewnością i przerwała.

– Opowiadaj dalej – Matka Maria dotknęła ręką jej czarnych włosów zaplecionych w dwa grube warkocze.

– No i ksiądz proboszcz powiedział mamie, że tu, w Wadowicach, są siostry i że uczą szycia. Pomyślałam, że szyć trochę umiem, tak dla siebie, ale że może z tego byłby kawałek chleba, gdyby tak nauczyć się szyć dobrze, a może potem…

– Co potem? – zapytała Matka, gdy Helenka znów przerwała. Widać było, że dziewczyna ma marzenia, które boi się wypowiedzieć głośno.

– A potem to można do szkoły krawieckiej – odezwała się cichutko wysoka, blada Zosia.

– Albo otworzyć swój własny zakład krawiecki i szyć dla jakichś panien czy pań – dopowiedziała Tereska.

Długo jeszcze dziewczyny zachęcone zainteresowaniem i pytaniami gościa opowiadały swoje trudne historie, podobne do dziejów Helenki. Kiedy w końcu m. Paula chrząknęła, dając do

zrozumienia, że powinny już wychodzić, Matka Franciszka na pożegnanie uczyniła znak krzyża na czole każdej z panienek.

– Jakie znajduję róże w tym domeczku! – wyjeżdżając z Wadowic po kilku dniach, mówiła Matka Maria do żegnających ją sióstr. – I choć jest też wiele biedy, rozmaitych kłopotów, jak wszędzie, ale jak bardzo najmilsza Opatrzność Boża troszczy się o was, kochane siostry i o te biedne dzieci, które do was przyprowadza. Nie ustawajcie, kochane moje, w waszej pracy i staraniu. Niech wasze serca będą wierne Jezusowi, nie oddalajcie się nigdy od Niego. On, nasz Pan, będzie zawsze z wami, będzie was pocieszał, umacniał i pomagał przez całe życie. Niech wasze serca będą Nazaretem!

Siostry nazaretanki, wierząc i ufając Opatrzności Bożej, trwają w Wadowicach do dzisiaj. Od tamtej pory przez ich dom przewinęło się wiele dzieci, młodych dziewcząt, osób niepełnosprawnych, znajdując tam troskę, uwagę, wsparcie; znajdując tam miłość. Wśród tych dzieci był też św. Jan Paweł II, który jak sam wspominał, zachodził do ochronki sióstr nazaretanek „w takim wieku, kiedy jeszcze o człowieku mówi się *maluch*”[20].

Nic się nie stało

Dochodziła godzina jedenasta. W domu sióstr nazaretanek przy ul. Machiavelli panował zwykły porządek. Każda z mieszkanek zajęta była swoimi codziennymi obowiązkami. Jedne pracowały w kuchni, inne w szwalni, jeszcze inne w ogrodzie. Siostry nowicjuszki słuchały konferencji mistrzyni nowicjatu, m. Gabrieli. W kaplicy s. Cecylia kończyła właśnie sprzątanie. Matka Franciszka układała w wazonach zakupione wcześniej kwiaty na Campo di Fiori. Chciała, by ołtarz wyglądał pięknie i sama dbała zawsze o to z największą starannością. Wróciła właśnie niedawno z tego Pola Kwiatowego, na które chodziła zwykle sama. Lubiła odwiedzać ten plac wypełniony po brzegi straganami, bajecznie kolorowy, rozgrzany słońcem, wypełniony gwarem, bo były tam piękne i najtańsze w całym Rzymie kwiaty. Poza tym można było dać zarobić tym biednym ludziom, którzy je sprzedawali. Teraz z uśmiechem wspomniała dzisiejszą rozmowę z małym, radosnym Giuseppe, czteroletnim chłopcem, który całe dnie spędzał wraz z matką na placu targowym, gdyż nikt nie mógł się nim zająć. Pomyślała: „Och, gdyby tak mieć dom dla takiej nędzy, gdyby mieć fundusz, żeby to przygarnąć i chować”. Westchnęła cicho, myśląc jeszcze o tych wszystkich dzieciach, które czekają na pomoc, o tych sprawach, którymi można by się zająć, ale brakuje sióstr, czasu, funduszy…

Nagle te rozmyślania przerwał dzwonek wzywający siostry na południowy posiłek. Matka spojrzała ze zdziwieniem na s. Cecylię.

– Czyżby już było południe? Jakoś szybko nam dzisiaj minął czas. Poczekaj, moja kochana Cecylio, pójdę sprawdzić godzinę.

Kiedy przyszła do kuchni, zastała siostry niezwykle zawstydzone.

– Matuchno kochana, przepraszamy, zagapiłyśmy się. To moja wina – zawołała s. Augustyna – wydawało mi się, że już południe. A to dopiero jedenasta.

– Nic się nie stało – roześmiała się Matka i uścisnęła speszoną siostrę – musicie bardziej uważać na to, co robicie. – I wyszła, zostawiając siostry zaskoczone tym, że nie usłyszały żadnego przykrego słowa.

[20] Słowa wypowiedziane w homilii papieża Jana Pawła II podczas pierwszej wizyty w Wadowicach 7 czerwca 1979 r.

Ten dzień jednak nie obył się bez kolejnych pomyłek. Kiedy punktualnie w południe siostry zeszły do refektarza, z kuchni dochodziły jakieś dziwne hałasy. Siostry spojrzały po sobie, a Matka weszła sama do kuchni z zapytaniem, co się dzieje.

– Matko, dzisiaj same nieszczęścia nas spotykają – odezwała się tym razem zapłakana siostra kucharka. – Przedtem źle zadzwoniła s. Augustyna, a teraz ja sama przypaliłam mięso. Tak zajęłam się przygotowaniem sałaty, że zupełnie zapomniałam, że w piecu znajduje się pieczeń. Spaliła się zupełnie, nie można jej jeść.

– Widać, że siostra tak dziś myślała o Bogu, że choć chciała upiec pieczeń jak najlepiej, to jej nie wyszło. Musicie pamiętać, siostry – rzekła Matka z wielkim spokojem – że to jest wasza służba Panu i powinnyście wypełniać ją jak najlepiej. – Uściskała po kolei wszystkie siostry i razem weszły do refektarza.

– Dzieci moje – zwróciła się do wszystkich sióstr oczekujących przy stole – jest to wola Boża, abyśmy dzisiaj miały obiad bez mięsa. Najświętsza Rodzina doznawała wielkiej biedy, będziemy mogły Ją przynajmniej w tym naśladować.

Obiad upłynął w radosnej atmosferze, choć siostra kucharka długo jeszcze tego dnia wyrzucała sobie w duchu to zaniedbanie swych obowiązków.

Oto miłosierdzie!

– Za tydzień matka Laureta przyjeżdża z Ameryki – oznajmiła Matka Franciszka wieczorem podczas rekreacji, którą jak zwykle spędzała wraz ze wszystkimi siostrami w rzymskim domu. – Zostanie z nami przez kilka tygodni. I będzie miała dla nas niespodziankę.

Natychmiast siostry zaczęły zadawać wiele pytań: A co to za niespodzianka? A dlaczego przyjeżdża? A czy na pewno jest zdrowa? A z kim jeszcze przyjedzie?

Uśmiechając się tylko, Matka powtórzyła:

– Matka przyjedzie za tydzień.

Tydzień minął szybko wypełniony codziennymi obowiązkami: modlitwą, pracą w domu, spotkaniami z dziećmi i nauką katechizmu, przygotowywaniem starszych dzieci do ich I Komunii św., opieką nad chorymi czy innymi potrzebującymi. Kiedy m. Laureta, czyli Tekla Lubowidzka, przełożona domów w Ameryce, przekroczyła próg klasztoru, tuż za nią, chowając się za plecami, weszło niezwykle zawstydzone dziecię. Dziewczynka, ubrana w skromny i mocno już pognieciony strój podróżny, miała około 3 lat. Była bardzo chudziutka i widać już bardzo zmęczona długą podróżą. Jej drobne nóżki, odziane w małe skórzane buty, stąpały cichutko po podłodze. Siostry, które przybiegły do drzwi na dźwięk dzwonka, spodziewając się przybycia niezwykle lubianej i szanowanej m. Laurety wraz z s. Gabrielą, która miała odebrać ją z dworca, wydały okrzyk zdumienia. Zaskoczył je nie tylko widok dziecka, bo przecież dzieci bardzo często pojawiały się w domu przy ul. Machiavelli, ale fakt, że to była Mulatka. Okazało się, że dziewczynka jest sierotą, dzieckiem Murzynki i białego Amerykanina, którzy zmarli z powodu tyfusu. Biedne, schorowane dziecko siostry znalazły na ulicy w Chicago, zabrały je ze sobą i zaczęły się nim opiekować. Młody organizm szybko przezwyciężył chorobę, a mała Gracja, bo tak się nazywała, szybko stała się ulubienicą wszystkich sióstr, również m. Laurety. Teraz jadąc na kilka tygodni do Europy, zabrała ją ze sobą.

Dziewczynka prędko podbiła serca również sióstr w Rzymie. Pewnego razu Matka Franciszka wyszła wraz z s. Gabrielą do kościoła i zabrała ze sobą małą. Dziewczynka z zadziwiającą dojrzałością chętnie towarzyszyła siostrom w ich codziennych modlitwach. Podczas nich siedziała lub klęczała cichutko ze złożonymi rączkami, wpatrując się najchętniej w obraz Maryi.

Kiedy siostry wraz z dziewczynką wracały już z kościoła, nagle spadł rzęsisty deszcz. Obie siostry miały parasole, ale malutkiej Gracji żaden z nich nie zasłaniał. Nie można było wziąć dziewczynki na ręce, ponieważ była zbyt ciężka jak na słabe ramiona schorowanej Matki Franciszki czy równie słabej s. Gabrieli. Ponadto widok zakonnicy z dzieckiem na ręku w owym czasie mógł wzbudzić wielkie zdziwienie, a może nawet zgorszenie. Dlatego, nie zastanawiając się długo, Matka Franciszka odsłoniła swój płaszcz i ukryła w fałdach dziecko. Widać było tylko biegnące nóżki i małą zaciekawioną twarzyczkę, niezwykle zadowoloną z takiego obrotu sprawy. Dziewczynka wyglądała spod płaszcza swymi czarnymi, błyszczącymi oczkami, a w jej rozchylonych uśmiechniętych wargach połyskiwały dwa rzędy zębów niczym perełki. Szły tak obie zadowolone, mijając zdumionych tym widokiem śpieszących się i zmokniętych przechodniów. Nagle jeden z nich, wysoki, ciemnowłosy mężczyzna bez parasola, jedynie w kapeluszu na głowie, zobaczywszy Matkę Franciszkę osłaniającą z troską i miłością małą Mulatkę, zawołał, zdejmując z głowy kapelusz na znak uszanowania i podziwu:

– Oto miłosierdzie!

W dobie postępu

– Winszujemy Ci, Matuchno kochana, z okazji imienin – rozległ się głos m. Laurety przełożonej domów w Stanach Zjednoczonych. Zgromadzone siostry w domu rzymskim z wypiekami na twarzy słuchały najpierw życzeń m. Laurety, potem s. Alberty, s. Teresy i innych sióstr. Ich słowa, a nawet pieśń o Najświętszej Rodzinie, śpiewana pojedynczo i chórem, wydobywały się z niezwykłej maszyny, zwanej fonografem[21] pana Edisona, ustawionej na stole w refektarzu. I choć ich głosy były lekko zniekształcone, przerywane różnymi trzaskami i szumami, a nawet czasem wręcz mało zrozumiałe, efekt był oszałamiający.

– Jak cudownie móc usłyszeć głosy kochanych sióstr zza oceanu! – wołała zachwycona jedna z sióstr.

– A jakie to zmyślne urządzenie! – mówiła inna. – Wydaje się, jakby siostry ukryły się za drzwiami i stamtąd mówiły.

– I możemy to jeszcze raz posłuchać? Na tym wałku? – pytała z niedowierzaniem trzecia.

Matka Franciszka z uśmiechem kiwała głową. Ona już zdążyła w Paryżu poznać ten „cud techniki", jak o nim pisano pod koniec XIX w. Ten nowoczesny prezent przekazały Matce siostry z Ameryki, nagrywając nie tylko swoje słowa, ale też wysyłając kilka wałków z muzyką.

– W niedzielę na rekreacji posłuchamy sobie muzyki z tej maszyny – powiedziała Matka. – Zobaczą Siostry, jak będzie wesoło. A może nawet spróbujemy same coś nagrać? – dodała tajemniczo.

Rzeczywiście fonograf rozgościł się na stałe w Nazarecie, tak jak inne wynalazki końca XIX w. W 1899 r. w domu na via Machiavelli założono elektryczność. I choć decyzja nie była łatwa, bo wiązała się z dużymi kosztami, ale Matka po dokładnym rozpatrzeniu sprawy, postanowiła zaryzykować. Szczególnie cieszyła ją możliwość oświetlenia kaplicy.

– Quanto bello! Jak ślicznie wygląda teraz nasza kapliczka! – powtarzały siostry, ale też goście, zwłaszcza ci, którzy przychodzili do kaplicy sióstr, by adorować Pana Jezusa.

Dla Matki był jeszcze jeden powód do radości. Mogła odtąd długo w nocy przy świetle elektrycznej lampy pisać listy do sióstr, załatwiać różne sprawy zgromadzenia. Nie trzeba było już używać więcej kopcącej lampy naftowej.

[21] Fonograf – jedno z pierwszych urządzeń służących do zapisu i odtwarzania dźwięku, skonstruowany przez Tomasza Edisona w 1877 r.

A nocą, gdy już cały dom spał i gdy wszystkie listy zostały napisane, a sprawy załatwione, Franciszka szła cichutko do kaplicy, zapalała niewielkie światło i modliła się:

– O, Panie mój najdroższy, żeby tak całe życie spędzić przed Najświętszym Sakramentem i tak umrzeć: z adoracji ziemskiej przejść do wiecznej adoracji w niebie.

Na wszystko się oddaję

Z moim zdrowiem coraz gorzej – boleści nieustanne, a do tego żołądek w zupełnym nieporządku, chociaż żyję rosołem, rybami, ale i tego nie znosi, nic nie zatrzymuje. Każde poruszenie powiększa bóle. Pan Jezus najsłodszy raczy mnie krzyżować tym zdrowiem moim. Gdy te bóle przyjdą, jestem niezdolna do niczego, nic robić nie mogę. Co się jedno skończy, drugie się zaczyna, ale wiem, że to Pan Jezus dopuszcza dla mojego dobra, więc na wszystko Mu się za łaską Jego oddaję – Franciszka odłożyła pióro i przeczytała jeszcze raz to, co napisała w liście do o. Antoniego Lecherta, przebywającego już od kilku lat we Francji.

Była październikowa noc. Jak zwykle dzień był pełen zajęć, spotkań, rozmów. Gdzie trzeba było, łagodziła napięcia między siostrami, udzielała wsparcia wątpiącym, dodawała otuchy smutnym, wysłuchiwała narzekań i żalów, cieszyła się radościami i małymi zwycięstwami. Gotowa na każde zawołanie siostry, potrzebującego, Jezusa…

Mimo bólu i cierpienia fizycznego, które z każdym rokiem się powiększało, Franciszka od Pana Jezusa Dobrego Pasterza jest pełna radości Bożej i zachwyca otoczenie swym promiennym uśmiechem. Nie narzeka, nie uskarża się, czasem tylko niektóre siostry się domyślają, starają się podać coś delikatniejszego do jedzenia, usłużyć, wyręczyć. Jedynie o. Lechert, choć na odległość, zna prawdziwy stan oraz lekarz, dr Liberali, który stale zachęca do odpoczynku, do wycofania się z wielu obowiązków, dziwiąc się, jak przy tak wyniszczonym organizmie może w ogóle utrzymać się na nogach.

Ale jak tu wycofać się, kiedy tyle zajęć, w tylu miejscach potrzebna jest obecność Matki, więc pomimo tego, że przez ostatnie osiem lat życia cierpienie fizyczne towarzyszyło jej nieustannie, Franciszka odwiedza domy w Stanach Zjednoczonych, wielokrotnie jedzie do Londynu, Paryża, Krakowa, Lwowa. Wracając do Rzymu, podejmuje codzienne obowiązki przełożonej generalnej, prowadzi obfitą korespondencję do późnych godzin nocnych. Wstaje na głos dzwonka i pierwsza jest w kaplicy.

W ostatnich latach, gdy były takie dni, że Matka Maria nie mogła wstać z łóżka, siostry postanowiły przenieść ją do pokoiku na chórek. Tam zostało zrobione oszklone okienko, skąd widać było kaplicę i ołtarz. Kiedy pierwszy raz znalazła się w tej celce, widząc tabernakulum, zawołała:

– O, jak cudownie! W ten sposób będę mogła oglądać naszego Pana, a jeśli Mu się spodoba przywołać mnie do siebie, umrę, patrząc na tabernakulum!

Na ścianie naprzeciw łóżka zawieszono obraz Matki Bożej Nieustającej Pomocy. Zdarzało się, że Franciszka była tak słaba, że przyjmowała komunię św. w łóżku. Powtarzała stale:

– Już bym pragnęła, o ile to w mocy mojej, nie tracić komunii św., bo czuję i wierzę, że to jedyne szczęście moje na tej łez dolinie, na której tylko jednym włoskiem żyję.

A kiedy wracały siły, znów ruszała do pracy, wybierała się w podróż, pisała listy, głosiła konferencje, rozmawiała, napominała, radziła, okazywała troskę i miłość. Chciała nie tylko jak najlepiej wypełnić obowiązki przełożonej generalnej, ale przede wszystkim zaszczepić w sercach wszystkich sióstr młodziutkiego zgromadzenia istotę Nazaretu. Pragnęła przekazać swój duchowy testament. Żegnając się z siostrami w Krakowie, napisała:

Oddaję Was Świętemu Sercu Jezusa. Oby Ono mogło być Waszym schronieniem, Waszą obroną. Uczcie się od Niego wzajemnej miłości, słodyczy, dobroci. Niech panuje w Was duch Boży, duch poddania się, poświęcenia, cierpliwości w cierpieniu i w krzyżach. Zamykam Was wszystkie w Sercu Jezusa, módlcie się za mnie tak, jak ja modlę się i będę modliła się za Was.

Pójdziemy do domu Pana

Matka Franciszka leżała w łóżku od dwóch tygodni. Już kilka dni wcześniej miała gorączkę, była niezwykle słaba i tak wyczerpana, że nie mogła podejmować swoich codziennych zajęć. Siostry, przywykłe do jej słabego zdrowia, do ciężkich chorób i nagłych uzdrowień, nie zdawały sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Wezwany lekarz powiedział jednak, że stan jest beznadziejny. Być może operacja coś by pomogła, ale słabe serce Matki nie dawało wielkich szans na wyzdrowienie. Siostry natychmiast zaczęły gorące modlitwy o wyzdrowienie Matuchny. Ona jednak wiedziała, że zbliża się koniec. Leżała cicho, cierpliwie znosząc straszliwe cierpienia.

W piątek przed południem przyjechał kardynał Parocchi. Ujrzawszy go, Matka ucieszyła się. Wiedziała, że sam Kościół w osobie swego przedstawiciela przybył przygotować ją na śmierć, na spotkanie z Jej Oblubieńcem. Kardynał zwrócił się do Matki:

– Córko, proś Pana, żebyś została jeszcze ze swymi siostrami.

– Eminencjo, Pan Jezus mnie woła!

– Jeśli taka jest wola Boża, to idź, połącz się w niebie ze swym Oblubieńcem, przyjmij moje błogosławieństwo – kardynał uczynił nad nią znak krzyża.

– Eminencjo – szepnęła niespokojnie po chwili – mam suknię na to spotkanie? Nie odprawi mnie od bramy?

Kardynał pochylił się nad nią. Jej oczy, tak zwykle pełne blasku i życia, wpatrywały się gdzieś w głąb, była jakby już gdzieś indziej.

– Córko – powiedział kardynał głośno, z niezwykłą pewnością w głosie – idziesz na swoje najważniejsze spotkanie i boisz się, że nie masz dość pełnych rąk, by Niebieski Klucznik wpuścił cię za niebieską bramę. Córko, nie zmieścisz w dłoniach tego wszystkiego. Będziesz musiała poprosić Go, by spojrzał w dół i policzył: dom w Rzymie, Paryżu, Londynie, w Krakowie, we Lwowie, Wadowicach, dwadzieścia placówek w Ameryce … Tysiące dzieci, tysiące ludzi… A twoja sukienka? Cała utkana jest z miłości. Nitki wiary, nitki nadziei, nitki cierpienia, nitki wyrzeczenia, wszystkie one zdobią tę twoją suknię, która uszyta została z jednego materiału: z miłości. To najpiękniejsza i najtrudniejsza do osiągnięcia tu na ziemi suknia. Możesz radować się, córko, że taką suknię zdobyłaś.

Wydawało się, że Matka się uśmiechnęła i poruszyła lekko. Siostra Cecylia stojąca w pobliżu pochyliła się nad nią i cicho płacząc, powiedziała:

– Matko moja, weź mnie ze sobą!

– Zostań z Lauretą – odpowiedziała coraz słabszym głosem. – Macie zawsze Pana Jezusa, On was nie opuści, nie zapomni.

Patrzyła kolejno na stojące w pokoju zapłakane współsiostry, na m. Gabrielę, m. Kolumbę, m. Gertudę, m. Józefę i wolno powtórzyła jakby swój testament nie tylko do swoich ukochanych dzieci, ale też do całego świata:

– Miłości, siostry moje, miłości!

Po chwili jej usta powtórzyły jeszcze raz to samo słowo, najważniejsze ze wszystkich, ale w kilku językach.

– Miłość. Love. Liebe. Carità! – umilkła, a za moment z prośbą i tęsknotą dodała. – Pozwólcie mi odejść do Pana.

W pokoju słychać było modlitwę za konających wypowiadaną przez obecnych kapłanów i siostry. Matka ucałowała jeszcze raz przysunięty jej do warg krzyż, trzymany przez o. Lecherta. Nagle jej twarz rozpromieniła się, w oczach pojawił się niezwykły blask, westchnęła ledwo słyszalnie:

– Jezus, Maryja, Józef – i oddała duszę Bogu.

Był 21 listopada 1902 r., piątek, godzina trzecia po południu, święto Ofiarowania Matki Bożej.

Modlitwa o otrzymanie łask
przez wstawiennictwo bł. Marii od Pana Jezusa Dobrego Pasterza, Franciszki Siedliskiej

Najświętsza Trójco, uwielbiamy Ciebie i dziękujemy za przykład, jaki nam dała
Twoja Służebnica, błogosławiona Maria od Pana Jezusa Dobrego Pasterza,
naśladując życie i cnoty Najświętszej Rodziny z Nazaretu.
Udziel nam tej łaski, o którą prosimy za jej wstawiennictwem, dla większej chwały Twojej,
uświęcenia dusz, i rozszerzenia Królestwa Twego na ziemi. Amen

Modlitwa dzieci
do bł. Marii od Pana Jezusa Dobrego Pasterza, Franciszki Siedliskiej

Błogosławiona Mario Franciszko, nazaretanko, kochająca Jezusa, który żył w Nazarecie
przy Matce Maryi i Opiekunie świętym Józefie.
Proszę Cię, niech moja modlitwa wyprosi przez Ciebie łaski potrzebne dzieciom,
aby cieszyły się życiem, zdrowiem i kochającą rodziną.
Uproś miłość do Pana Jezusa dla mnie i wszystkich dzieci na świecie.
Błogosławiona Mario Franciszko, módl się za nami. Amen.

O cudach i łaskach otrzymanych dzięki wstawiennictwu bł. Franciszki Siedliskiej, które mogą przyczynić się do Jej kanonizacji, prosimy pisać na adres:

Zgromadzenie Sióstr Najświętszej Rodziny z Nazaretu
ul. Czerniakowska 137
00 – 720 Warszawa
tel. (22) 841 42 27; faks (22) 851 05 48
www.nazaretanki.pl
e-mail: prow_wwa@nazaretanki.pl

lub

Nazaretańskie Centrum Rozwoju Misji
Roszkowa Wola 18 A; 97-220 Rzeczyca nad Pilicą
tel. (44) 710 64 35
e- mail: misja.nazaret@wp.pl *lub* misja.nazaret@yahoo.com
www.nazaretanki.pl (strona Prowincji Warszawskiej, pod hasłem *Centrum*)



STOWARZYSZENIE NAJŚWIĘTSZEJ RODZINY

Jest to wspólnota osób świeckich, które uczestniczą w duchowości i misji Zgromadzenia Sióstr Najświętszej Rodziny z Nazaretu, starając się żyć duchem Najświętszej Rodziny w swoich rodzinach oraz szerzyć go wokół siebie.

Idea utworzenia Stowarzyszenia sięga początków Zgromadzenia. Założycielka, bł. Franciszka Siedliska, już w pierwszych Konstytucjach z 1887 roku umieściła zapis zalecający włączanie osób świeckich w życie charyzmatem Zgromadzenia, poprzez utworzenie Bractwa Najświętszej Rodziny. W 1942 r. Stolica Apostolska zatwierdziła Statut Bractwa, które przyjęło nazwę Stowarzyszenie Najświętszej Rodziny. W 2008 r. Statut został uaktualniony i na nowo zatwierdzony.

Członkami Stowarzyszenia mogą być całe rodziny, małżeństwa albo jedno z małżonków. Pełnoprawnymi członkami są osoby pełnoletnie, katolicy praktykujący. Dzieci osób stowarzyszonych towarzyszą rodzicom jako „Dzieci Nazaretu" i na swój sposób uczestniczą w zadaniach Stowarzyszenia.

Pierwszym celem apostolskim członków Stowarzyszenia jest dawanie świadectwa o chrześcijańskich wartościach rodziny wśród swoich najbliższych w domu, w miejscu pracy i środowisku społecznym. Stowarzyszeni obierają Najświętszą Rodzinę za wzór i patronkę swego ogniska domowego, dążąc do naśladowania Jej cnót, a także szerząc nabożeństwo do Niej. Starają się być oparciem dla rodzin, szczególnie tych, które przeżywają kryzysy. Zobowiązują się do codziennej modlitwy za wszystkie rodziny świata, za Zgromadzenie Sióstr Najświętszej Rodziny z Nazaretu, modlitwy o powołania do niego oraz w innych intencjach powierzanych przez Zgromadzenie. Uczestniczą w skupieniach i rekolekcjach organizowanych dla nich przez Zgromadzenie, a mających na celu formację duchową. Utrzymują żywy kontakt ze Zgromadzeniem. Wyrażają gotowość do pomocy w dziełach Zgromadzenia, na miarę swoich możliwości.

Zgromadzenie ogarnia członków Stowarzyszenia modlitwą, w tym codzienną modlitwą za zmarłych członków SNR. Troszczy się o formację w duchu Najświętszej Rodziny, przygotowując program formacyjny, organizując skupienia i rekolekcje. Włącza ich we wszelkie duchowe dobra Zgromadzenia.

Wspólnoty Stowarzyszenia istnieją na całym świecie i zrzeszają się przy domach zakonnych sióstr nazaretanek. W Polsce SNR istnieją w obu prowincjach: krakowskiej i warszawskiej.

Prowincja krakowska:

www.snrnazaret.pl
Fb: stowarzyszenienajświętszejrodziny.krakow

Dyrektorka SNR
s. Elżbieta Kuczmarska
ul. ul. Nazaretańska 1,
30-685 Kraków
snrkrakow1@gmail.com

Prowincja warszawska:

www.nazaret.opoka.net
Fb: stowarzyszenie.nazaretanki

Dyrektorka SNR
s. Michaela Pietrzak CSFN
ul. Czerniakowska 137
00 – 720 Warszawa
s.michaelacsfn@gmail.com